

ABELARD I HELOIZA.

PRZEB

Stefana Pawlickiego.

(Ciąg dalszy).

6. *Abelard zakłada nową szkołę w klasztorze Parakleta, nowe powodzenie i nowe prześladowanie.* W opactwie Saint-Denis nie bardzo tęskniono za Abelardem, to téż odżyły niebawem spory i niesnaski, gorsze od dawniejszych. Abelard zresztą miał szczególny dar wynajdywania przedmiotów spornych. Wyczytał gdzieś w Bedzie, sławnym podówczas kompilatorze, że Dionizy, członek Areopagu, którego nawrócił Paweł ś. nie był ateńskim biskupem, lecz koryneckim; we Francyi zaś wierzone, że założyciel klasztoru i patron królestwa był Areopagitą owym, nawróconym przez Pawła ś. i pierwszym ateńskim biskupem. Skoro więc Areopagita (podług Bedy) nie był biskupem w Atenach, nie mógł być założycielem klasztoru. Abelard udzielił śmiejąc się to odkrycie braciom swoim, ci zaś nie w tém nie widzieli śmiesznego, gdyż chodziło im nadzwyczaj o to, aby święty ich fundator nie był jakimś nieznanym człowiekiem, lecz członkiem sławnego Areopagu; popierali to żywotem świętego, napisanym przez jednego z ich opatów Hilduina w wieku IX, który podobno długo po Grecyi podróżował i mozolnie zebrał materyały do wspomnionéj biografii. Abelard odparł z uśmiechem, że nieznaną Hilduin nie może się równać z Bedą, którego powagi uznaje księciół cały; mnisi oświadczyli na to jednomyślnie, że czcigodny Beda albo się omylił albo skłamał, i z wielkim gniewem pobiegli do opata, powtórzyć mu obrazę, jakiéj się dopuścił złośliwy Abelard na

pamięci ich założyciela. Opat widząc przez Abelarda sławę zakładu podkopaną, z czego na zewnątrz wyniknąć mogły skutki nieprzyjemne, ciesząc się zresztą z nadarzonej pory, ażeby ukarać niewiernego krytyka, ogłosił go plagą klasztoru i nieprzyjacielem państwa. Ten dowodził na próżno, że sam nic nie zdecydował w tej zawiłej kwestyi, tylko czyjeś zdanie przytoczył, że zresztą obojętną zupełnie rzeczą, czy patron Francyi i klasztoru założyciel był członkiem Areopagu i ateńskim biskupem, lub nie, skoro i jemu dozwolił Pan Bóg osiągnąć palmę świętości; nie to nie pomogło, osadzono Abelarda w więzieniu, opat zaś pojechał ze skargą do króla. Zauim jednakże wrócił, więzień szczęśliwie uszedłszy, nie bez pomocy kilku przyjaciół a zapewne ku wielkiej radości całego zgromadzenia, schronił się do Szampanii, gdzie władał życzliwy mu hrabia Thibaud i tam zamieszkał u jakiegoś przeora, z którym go łączyła przyjaźń ścisła i dawna. Opat domagał się stanowczo jego powrotu, grożąc ekskomuniką, zmarł jednak nagle na szczęście (19 lutego r. 1122) a po nim objął berło opactwa sławny Suger, przyjaciel i doradca dwóch królów a rządcą królestwa, gdy Ludwik VII odbywał krucyatę. Do niego udawszy się jeden z wielkich panów dworskich, opiekujący się Abelardem, objawił mu swoje zadziwienie, że klasztor pragnie gwałtem zatrzymać tak nieznośnego cenzora i kłótliwego człowieka. Stanęło więc na tém, że Abelardowi pozwolono zamieszkać, gdziekolwiek mu się spodoba, byleby nie wstąpił do żadnej inniej kongregacyi, ażeby honor opactwa był całym. Potwierdził tę umowę sam król i Abelard nareszcie odetchnął.

Podarowano mu nie daleko miasta Troyes nieco łąk i nie uprawnej ziemi, gdzie osiadł za zezwoleniem biskupa i wystawiwszy Trójcy ś. kapliczkę z trzciny i gałęzi, wiodł życie pustelnicze, mając tylko jednego przy sobie towarzysza. Ustroń ta nie jest zbyt odległą od Paryża: skoro się dowiedziano tam o miejscu, gdzie przebywał filozof-pustelnik, rozpoczęła się nowa do niego pielgrzymka. Wkrótce kilkadziesiąt młodzieży zaludniło ciszę i wzdłuż rzeczki wzniosły się szeregi chat, gdzie miescili się przyjaciele prawdy. Część z nich uprawiała ziemię, inni poświęcali zapasy swoje na rzecz ogółu, ażeby mistrz kochany, pozbawiony wszelkich trosk doczesnych, mógł oddać się swobodnie duchowej pracy.

Abelard odżył na nowo, widząc na około siebie młode, zapalone pokolenie, jak opuściwszy miasto i wygody jego, mieścili się w chatach z ziemi, raczej do jam podobnych, jak twardy chleb wiejski i niesmaczne korzenie były im pokarmem a mech i liście posłaniem; wtedy przypomniał sobie słowa ś. Hieronima, gdy dla nauki osiadłszy w odludném Betleem, powiada o uczniach proroka Elizeusza, że stawiali sobie chatki nad brzegami Jordanu, a opuściwszy miasto i towarzystwo ludzi, żyli z ziarn tłuczonych i dzikich roślin. Ponieważ zaś nie mogła kapliczka pomieścić tłumów, wybudowano z drzewa i kamieni obszerniejszą świątynią, którą na pamiątkę, że tutaj przybył wygnanym i biednym, Abelard z wdzięczności za odzyskany spokój ducha poświęcił pocieszycielowi, *Parakletowi*. Zazdrość odżyła na nowo, tajemne doniesienia zwracały na niego uwagę wyższego duchowieństwa; korzystano z każdego szczegółu, nawet z dedykacji świątyni, w której upatrywano niebezpieczną innowacyą, zdaje się bowiem, że nie było wtedy w zwyczaju poświęcać kościołów samemu Duchowi ś. Abelard z razu nie zważał na pokątne szept, z dawnym zapałem i dawną gienialnością oddawał się wykładom i zarządowi stowarzyszenia, które było jakby miastem filozofów: utrzymywał wśród młodych słuchaczy swoich wzorowy porządek i z niezłomną energią kierował ich pracami. Ale przekonał się niebawem boleśnie, że liczba przeciwników mnoży się z dniem każdym, że najwierniejsi przyjaciele, piastujący wysokie w kościele dostojęstwa, zamilkłszy smutnie, lękali się stawać w jego obronie, słowem, że opinia publiczna stawiała się coraz więcej dla niego nieprzychylną.

Zkądże przewrót ten nagły? Czyż smutną, nieuniknioną każdej wielkości dolą zestarzyć się z czasem? Abelard sam napomyka ostróżnie o przyczynie zwrotu w opinii publicznej, mówiąc, że dwóch nowych powstało proroków, w których wierzył świat cały, i że ci go prześladowali. Byli to dwaj święci: *Norbert*, założyciel Premonstratensów, i nieśmiertelny *Bernard z Clairveaux*; wykształceni gruntownie, przejęci głęboką, prawdziwą pobożnością, obdarzeni siłą woli, podniesioną do najwyższej abnegacyi, pracowali obaj w jednym celu i na jednej niwie. Ubolewając nad rozwiłnością życia klasztornego i nad powszechną oziębłością wia-

ry, pragnęli oni wrócić chrześcijaństwu dawną moc i prostotę; głównie zaś zasługą ś. Bernarda, że cel ten został osiągnięty. Spotkamy się jeszcze w ciągu opowiadania z tą wielką, wyniosłą postacią i wtedy zatrzymamy się przy niej dłużej. W tych czasach, gdy Abelard zbierał nowe wieńce sławy w pustelniczej ustroni swojej pod miastem Troyes, był już Bernard, młodszy od niego, opatem w Clairveaux. Klasztor ten był jego dziełem; albowiem zgorszony łagodnym i wygodnym życiem braci zakonnych w Cîteaux, wyniósł się do dzikiej, nieuprawnnej doliny i tam zawiązał z kilkoma tegoż co on przekonania towarzyszami nową kongregacyą, i tój nadzwyczaj surową przepisał regułę. Clairveaux otoczyło się w ciągu lat kilku sławą niezmierną: wszyscy co gardzili próżnością spraw doczesnych lub światowych nauk marnością, wszyscy co czuli zapach w sobie święty do surowej, przechodzącej prawie ludzkie siły abnegacyi, spieszyli do nowego klasztoru. Ale Clairveaux jest tylko o kilka mil odległym od świątyni Parakleta, gdzie panował Abelard: czyż podobna, żeby dwie tak przeciwne sobie instytucye istniały w zgodzie obok siebie? W Clairveaux ponure zastępy postem i umartwieniami wycieńczonych mężów, którzy zerwali na zawsze z światem i z mądrością jego; w Paraklecie młodzież wesółą, wolnomyślną, wierzącą w nieomylność nauki, pragnącą dochodzić wszystkiego rozumem, kierunek wręcz przeciwny mistycznej pobożności i natchnionym kazaniem Bernarda, który nie tał się wcale z niechęcią swoją do Parakleta. A ponieważ świątobliwy, surowy zakonnik rośł w znaczenie z dniem każdym, i porywał coraz więcej tłumy, stał się on niechęć zmorą prawdziwą dla nieszczęśliwego filozofa. Abelard czuł, jak opinia publiczna stygnie coraz więcej dla niego, jak się od niego odwraca; może nie jeden z uczniów opuściwszy go poszedł do Clairveaux lub do paryzkich mistyków, przytem bezustanne szeptu złowrogie, jakieś okropne posłuchy, że się gotuje sąd straszny, że Bernard pracuje nad jego upadkiem, nareszcie popadłszy w zupełne duchowe zmitręczenie uczuł się Abelard najnieszczęśliwszym z ludzi; gdziekolwiek zjechało się kilku duchownych, już widział siebie przed soborem, gdziekolwiek toczyła się sprawa kościelna, już myślał, że na niego wyrok zapada: dość, że przepędzał dnie i noce w bezustannym strachu i niewymownych cierpieniach.

7. *Abelard opatem w Bretanii, dalsze losy Heloizy; listy kochanków i rozbiór takowych.* W tych chwilach rozpaczy, gdy już zamierzał nawet wynieść się do krajów pogańskich, ażeby tam spokojnie zakończyć życie swoje daleko od chrześcian i od prześladowań, przybywa dziwne poselstwo od mnichów klasztoru Ruys-Saint-Gildas w głębokiej Bretanii (w dyecezyi Vannes), którzy po śmierci swego opata (około r. 1125) obrali, za zezwoleniem księcia, Abelarda jego następcą. Godność opata była wtedy wielce poszukiwaną, dawała samodzielność i świetne w kościele stanowisko; Abelard w nadziei, że uśmiecha mu się nareszcie port spokojny, przyjął godność ofiarowaną i choć nie bez wstrętu, byleby się wydostać z obrębu duszącej atmosfery klasztoru Clairveaux, wyjechał do Bretanii. Kraj ten, wyjąwszy część przytykającą do ujścia Loary, gdzie się urodził Abelard i gdzie przyjęto język i obyczaj romański, był jeszcze pograżonym w zupełnem barbarzyństwie: języka romańskiego nie rozumiano tam wcale, łaciny także nie wiele, gadano jeszcze w najlepsze po celtycku a nauki były tam czémś zupełnie nieznaném. Abelard z gruntowném wykształceniem i wykwintnemi zwyczajami przybywa ze środka cywilizacyi do odległego, nad samém morzem na urwisku skały zawieszonego klasztoru, zaludnionego przez trzodę grubiańskich, nieokrzesanych, na wszelką swawolę wyuzdanych mnichów, od samego początku stawiających opór złośliwy wszelkim jego zamiarom. Zakład cały w nędzy, dobra zagrabione przez możnego sąsiada, zakonniicy w poufałych stosunkach z mieszkańcami okolicy, również dzikimi, jak oni i również wątpliwą moralnością. Zapóźno spostrzegł się Abelard, że niebacznie włożył zbyt wielkie brzemię na słabe barki swoje i ogarnęła go większa rozpacz, niż przedtem. W krótkce przekonawszy się, że pracuje na próżno nad przywróceniem porządku, cofnął się w głąb siebie i tylko przebywał z myślą swoją, gdyż nie miał nikogo, z kimby się nią dzielił; książki i pióro stały się jedyną jego pociechą.

Wtedy wśród ciemnej nocy, otaczającej go zewsząd, ukazała się smutna gwiazda, której blaskiem cieszył się niegdyś za dni szczęścia i młodości swojej; na wpół zapomniana Heloiza stanęła na nowo w drodze żywota jego, a choć nie mogła nieść mu pomocy, gdyż sama była w utrapieniu wiel-

kiem, przecież wzywając pomocy, zajęła go swoją niedolą, tak iż zapomniał o sobie i o rozpacz swój. Od chwili, gdy przegrodziła się świętym welonem od świata, żyła dla Boga, jak mniemali wszyscy a jak sama mówi, w rozpamiętywaniu ubiegłego szczęścia. Wykształcenie nadzwyczajne, głęboka pobożność i wzorowe życie, szacunek powszechny który ją otaczał, nareszcie urok cierpienia, opromieniający jej przeszłość, wyniosły ją niebawem na matkę przełożoną tegoż klasztoru Argenteuil, gdzie odbyła swój nowicyat. Odtąd suuło się jej życie nieprzerwaną nicią dobrych uczynków i wielkich poświęceń, ale nagle przerwaném zostało to ciche, anielskie, pełne zasług niewymownych działanie, gdy opat Suger, wycytawszy gdzieś w starych pargaminach, że niegdyś należał klasztor Argenteuil do Saint-Denis, zabrał takowy przemocą i rozproszył zakonnic. Abelard dowiedział się o wszystkim na wygnaniu swoim w bretońskim opactwie. Zadrżał boleśnie, że Heloiza błąka się bez schronienia, i sam biędny, prześladowany, bez stosunków i wpływu, oddał jej to, co posiadał. Z prawa należała do niego owa ustron pod miastem Troyes i kościół Parakleta, teraz stał on opuszczony, owe chatki, które mieściły niegdyś w sobie gwarną, wesołą młodzież, zniknęły bez śladu i tylko jeden ubogi duchowny obsługiwał smutną świątynią. Abelard odstąpił ją, bo więcej nic nie posiadał, wraz z przyległościami Heloizie a ta osiadła w niej z małym gronem przywiązanych do niej zakonnic. Papież Innocenty II, bawiąc podówczas we Francyi, potwierdził donacyą, wyniósł ją do godności opactwa, a Heloizę uczynił pierwszą jego matką przełożoną (Bulla tycząca się tej sprawy wygotowaną została 28 listopada r. 1131). Z początku żyły pobożne niewiasty w wielkiem ubóstwie, ale Pocieszyciel czuwający nad świątynią nie zapomniał o służebnicach swoich. Niewymowna słodycz charakteru i ascetyczna świętobliwość wolna od wszelkiej goryczy, uczyniły Heloizę wkrótce gwiazdą przewodnią całej okolicy: lud garnąc się zewsząd do niej, niby do matki opiekuńczej, wspierał chudobą swoją pański przybytek, biskupi przychodzili w pomoc radą i czynem, nawet Bernard ś. dla którego imię Parakleta nie miłe wzbudzało wspomnienia, okazywał jej najserdeczniejsze współczucie i tak ledwo rok minął jeden, gdy samotny, ubogi kościół zamienił się niby cudem w bogat-

te i sławne opactwo. Odtąd nie mógł się już Abelard odłączyć od kongregacyi, której los zabezpieczył; po długiem wahaniu się, po gwałtownej walce wewnętrznej uległszy prośbom zakonnic i napomnieniom przyjaciół, przybywał od czasu do czasu z odległej Bretanii do Parakleta, ażeby udzielać kapłańskiej pociechy pobożnym niewiastom. Wycieczki te, wśród których jednak rzadko widywał Heloizę i unikał samotnej z nią rozmowy, stały się dla biednego wygnańca chwilami szczęścia, wśród których zapominał o troskach i zmartwieniach, jakie czekały nań w jego opactwie; spokój ducha wracał mu wśród tych zakonnic, tęskniących za jego słowami, kochających go jak ojca; z rozmów serdecznych, jakie miewał z niemi, czerpał pociechę, a przede wszystkim nowe siły, tak mu potrzebne do zadość czynienia trudnym obowiązkom. Ale nawet te krótkie chwile szczęścia, ta niewinna zażyłość zatrute zostały jadem złośliwej obmowy. Wskutek tego zaprzestał Abelard odwiedzin swoich i pozostał sam wśród dzikich mnichów Bretanii: ostatni port, jaki mu się uśmiechnął, zamknął się przed nim na zawsze. Z rozpaczą woła, że dźwiga na sobie przekleństwo Kaina, gdyż jak on wskazany na wieczne tułactwo. Położenie jego stawało się coraz więcej rozpaczliwem: mnichy jego buntowały się coraz więcej... w klasztorze czychała na niego trucizna, wszędzie... w każdym pokarmie i napoju... nawet przy mszy ś. w kielichu... po drogach czatowali najemni mordercy... Na nic się zdała klątwa, którą rzucił na przewodników spisku... na nic opieka samego Ojca ś., którego legat umyślnie przysłany wypędził najburzliwszych: ci co zostali, okazali się jeszcze gorszymi... Wtedy nieszczęśliwy tułacz otoczony zewsząd sztyletami zbójców uszedł z biędą wielką pod zasłoną hr. Nantes i więcej już nie zobaczył rozbestwionej zgrai; ci zresztą cieszyli się że uszedł i pozostawili mu godność opata, którą zachował aż do śmierci (13).

Z razu przyjął ofiarowaną sobie gościnność w zamku hr. Nantes i tam pod wrażeniem gwałtownych wzruszeń,

(13) Że pozostał opatem aż do śmierci, o tém świadczy kronika klasztoru, w której zapisano pod r. 1141: „Piotr Abelard, opat de Saint-Gildas de Rhuyś umiera. Po nim nastąpił opat Wilhelm.” Zob. Remusat: Abélard, tom I, str. 141, przyp. 1.

w srogięj niepewności o przyszłość, napisał żywot swój ażeby ulgę sprawić cierpieniom duszy (14). Książce téj dał napis „historia nieszczęść moich:” jest ona pasmem nieprzerwaném niewymownych boleści i udręczeń, przerażających obfitością i niezwykłością swoją, a gdy doszła do rąk Heloizy, stała się powodem listów, które uwieczniły pamięć dwóch kochanków. Listy te oceniono różnie; jeden z najznakomitszych historyków Francyi (15) zauważył, że Heloiza pisze jak kobieta, która kocha niewymownie... a Abelard jak zimny pedant, który wstydzi się przeszłości. Bo też ton listów Abelardowych inny jest od namiętnego stylu Heloizy... ale sądzmy je spokojnie, zimno, jeżeli można pozostać zimnym w obec tragedyi, w której dwa szlachetne serca ponoszą męczarnie, nad które trudno pomyśleć większe na tym świecie... kilka uwag wstępnych ułatwi nam boleśną ocenę, do której, wyznaję szczerze, zabieram się niechętnie.

Kilkanaście lat przeszło, jak rozłączyli się małżonkowie, ażeby zapomnieć na zawsze o świecie; czyż i o sobie zapomnieli? Abelard włożywszy na się szatę zakonnika, zerwał z przeszłością, dłużej z nią pozostać było niepodobieństwem, a więc wyrzekł się tego, co minęło bezpowrotnie. Ile razy stawa przed nim obraz ubiegłego szczęścia, cofa się przerażony ażeby śnać nie rozdarły się na nowo ledwo zagojone rany i nie pomnożyły cierpień duszy, których przybywało świeżych z dniem każdym. Boleśném jest przejście od znikomych uciech i dziennych pragnień do niczem nie zamąconej pogody myśliciela. Czyż tylko jeden Faust przeboleł żywot ziemski? Każde stulecie wydało ich tysiące, jeżeli nie również wielkich, to bez wątpienia również nieszczęśliwych. Każdy myśliciel, każdy kapłan sztuk pięknych, zanim doszedł do ciichéj krainy ideałów, musiał się okupić ziemi, wspólnéj naszej matce... zanim stanęli tam, gdzie przezrocza obiektywna kontemplacya ukoi wszelkie troski i wszelkie żądze doczesne, gdzie niewyraźnie tylko dochodzi słaby, coraz słabszy odgłos ziemskich gwarów... zanim stanęli tam, gdzie stawa tak

(14) Jest to przypuszczenie p. Remusat, bardzo do prawdy podobne. Zob. jego *Abelard*, tom I str. 141.

(15) Michelet. Zob. sąd jego o listach kochanków w II tomie str. 296 jego *Histoire de France*, (Wyd. z r. 1833).

mało wybranych, musieli wychylić aż do dna kielich ziemskiej rozkoszy i goryczy ziemskiej. Słabi nie przebędą próby, zostaną tam, z kąd wzięli swój początek, silni wychodzą z próby odrodzonymi, z promienistém obliczem, ażeby nie upaść więcéj. Takie przeznaczenie wszystkich śmiertelników, i Abelard jemu uległ. Napił się do syta sławy ziemskiej i ziemskiego szczęścia: był podziwianym jak mało kto, był kochanym jak żaden drugi. Ale był to szczyt doczesności jego; widzieliśmy że zerwał z nią, choć serce jego pękło. Odtąd zwrócił wzrok swój duchowy ku wyżynom idealnej krainy, gdzie doczesność niczem, gdzie wieczna pogoda rozmyślań, gdzie Prawda najwyższa, wiekuista. Ale krainę Prawdy dzieli od doczesności ciemny padół cierpień, w którym zmarniało tak wielu. Abelard przebył go bez szwanku: nie oglądając się za tem, co porzucił, co minęło na zawsze, wdzierał się coraz wyżej do dziedzin czystej, spokojnej myśli: boleści niewymowne jeżyły się przed nim na drodze, ale nie wróciły nigdy w tył kroków jego. Gdy zaczął pielgrzymkę, rozkazał Heloizie iść za sobą, ale czyż kobieta zdolną do pielgrzymki takiej, czyż słabe jéj siły wystarczą na tak długą drogę?

Mężczyzna gdy porzuci świat ten, szuka ulgi w prawdzie; zdąża do Prawdy Najwyższej; ta wynagrodzi go za ułudy, za fałsz, które mu zatruiły doczesność. Kobieta także zdobywa się na tę wielką ofiarę, ona także zrywa z doczesnością, gdy miłość jéj poniosła ranę głęboką... ale jéj pierwiastkiem miłość, jéj prawdą Miłość Najwyższa Wiekuista. A chociaż Prawda Najwyższa i Miłość Najwyższa nie są dwie różne istoty, ino dwie twarze jednéj i téj saméj Najwyższej Nieskończonej Istoty, przecież drogi do nich różne są: ten, co pragnie zbliżyć się do Najwyższej Prawdy, powinien zapomnieć o przeszłości, bo tam cząstkowe tylko prawdy, tam pełno fałszu i błędników; ale istota która tęskni za połączeniem się z Źródłem Wszelkiej Miłości, nie może wymazać przeszłości z pamięci swojej, bo tam już miłość była, a chociaż miłość ta niedoskonała, bo ujęta w formę doczesną, przecież samo jéj wspomnienie dodaje sił nowych i dziwnéj wytrwałości. Abelard wielkim jest, że chciał zapomnieć na zawsze... bo w jego przeszłości nie było czystej prawdy, było tam wiele ułudy... Heloiza również wielką jest, jeśli nie wię-

kszą, że pamiętała.... bo w tem, co przeszło był przesmak połączenia się z Odwieczną Miłością.... I tak szła ona sama bez pomocy, bez rady.. a ten, którego pomocy byłaby wezwiała chętnie, był dalekim od niej i nie odzywał się. Bo jaką pomoc miał jęć nieść ten, który potrzebował wytężenia wszystkich sił bogatego ducha, ażeby zagoić rany serca swego i torować sobie drogę po przez olbrzymie przeciwnieństwa?.... Zresztą widział ją przełożoną kwitnącego klasztoru, widział ją czczoną i na pozór niby spokojną; czyż mógł się domyślać, że potrzebuje pomocy od niego, złożonego niemocą ducha?... Ale gdy wygnana z klasztoru błąkała się bez przytułku z zakonnicami swemi, wtedy cała przeszłość stanęła przed oczami tego, który niegdyś był jęć wszystkim i wtedy zapomniał o własnych cierpieniach, ażeby jęć los zabezpieczyć. Udało mu się to przedziwnie: klasztor Parakleta zakwitnął pod rządami Heloizy, biskupi czcili ją niby siostrę, opaci niby matkę, Abelard widział przyszłość zakładu zapewnioną, pracował zresztą gorliwie nad tą winnicą, udzielając pobożnym niewiastom pomocy kapłańskiej i skarbow wiedzy. Ale gdy zazdrość odżyła na nowo, gdy widział sławę Heloizy zagrożoną, wrócił smutnie ale mężnie do swego klasztoru i bolał w samotności; Heloiza jego nie potrzebowała, tak mniemał, a on już więcej nie mógł jęć dopomódz. Stan duszy jego, który oddaliśmy w słabym zarysie, tłumaczyć nam, czemu nigdy nie pisał przez lat tyle do Heloizy, czemu jęć unikał starannie i nawet goszcząc w Paraklecie widywał się z nią rzadko, prawie nigdy.

Ale nadaremne zabiegi.... to czego unikał starannie przez lat kilkanaście, miało stanąć raz jeszcze przed jego duchem... wszystkie wspomnienia przeszłości miał on przeboleć raz jeszcze. Nieszczęśliwa książka, w której skreślił dzieje żywota swego, doszła do rąk Heloizy: ona przeczytała tę książkę, którą pisało pióro, maczane w żółci i piołunie.... małżonek stanął przed nią, blady, znękany, z bojaźnią śmierci na czole.... jego krzyk rozpaczy (którym kończy się księga) wstrząsnął całą jęć istotą.... zapomniała o Bogu i o ślubach swoich.... zakonnica stała się kobietą kochającą.... pierś jęć nie zdołała tamować dłużej wrzących uczuć.... milezenie stało się jęć okropném, niepodobném.... przełamała je a owo-

cem tego przerwane go milczenia jest pierwszy list jęj.... kto go przeczytał, nie zapomni go nigdy. Treść jego mniej więcęj taka: gdy przeczytała historiją jego żywota, dawna rozpacz ogarnęła ją na nowo, a więcęj prosi go, by zamówił rany, jakie zadał jęj niechęć.... milczał tak długo, nie pocieszył jęj nigdy ani słowem ani listem.... powątpiewa więcęj o szczerości uczuć jego, skoro słów nawet żałuje... a przecież ma prawo do listów jego, miłość jęj była zawsze niezmienną, bezwzględną, wypełniła wszystkie jego rozkazy.... jeżeli w nagrodę za to nie dostanie się jęj nawet słówko pociechy, to nadaremne całe jęj poświęcenie.... któż ją wynagrodzi za umartwienia, za pokutę lat tylu?.... Czyż Bóg może? o nie! ona nie spodziewa się niczego od Boga, bo ona nic nie uczyniła z miłości ku Najwyższemu, tylko z przywiązania niewymownego do Abelarda.... dlatego zaklina go, by nie milczał dłużej, by jęj wrócił obecność swoją jakimby sposobem, by jęj przestał słówko pociechy, aby pokrzepiona wytrwać mogła w służbie Bożej....

Abelard zadrżał boleśnie.... przeszłość stanęła przed nim, żywa, rzeczywista; list rozwinął przed jego wzrokiem przeobrażonym obraz ubiegłego szczęścia, zamglony łzami Heloizy; tenże głos, co powtarzał niegdyś za dni szczęścia: „tyś dla mnie wszystkim,” odezwał się na nowo... „tyś jedynym istotą moją i ducha mego panem,” pisze strapiona kobieta „duch mój, jeżeli z tobą nie jest, nigdzie nie jest, bo on nie może istnieć bez ciebie”... I tak wszystko, czem oddychał niegdyś, nadzieja i kochanie, szła radości i znużenie szczęścia, a po nich krwawe cierpienia, które lat kilkunastu sączyło wielkimi kroplami bezlitośnie do serca jego, wszystko to przeżył on, wszystko odbolał naraz.... w jednej chwili.... ale przetrwał tę chwilę, mieszczącą w sobie więcęj niż sto lat innych śmiertelników.... a zmógłszy ją, dał odpowiedź, spokojną i lśniąca, jak ostygła lawa.... on musiał być spokojnym, jeżeli nie chciał zniweczyć serca, które żebrało ratunku. Jednakże pod wywalczonym spokojem ukrywa on rzewne przywiązanie brata. Nie zapomniawszy, że on kapłanem, zwraca się do nięj, jako do siostry swojej w Chrystusie; powiada, że nie pisał nigdy do nięj, ponieważ uważał rady swoje za niepotrzebne, znając jęj mądrość i pobożność, jęj gorliwość z jaką czuwała nad klasztorem swoim; jeżeli jednak żąda jego pomocy duchownej

i nauki, ażeby lepiej służyć Bogu, niech napisze, a on jęj nie odmówi... Tyle dla zakonnicy, ale nie zapomina o siostrze, niegdyś ukochanej w świecie, teraz najukochańszej w Chrystusie.... posyła jęj psalterz i prosi o modlitwę.... a jeżeli Bóg go odda w ręce nieprzyjaciół, niech każe przeniesć jego zwłoki do Parakleta, niech nad grobem jego złączy westchnienie swoje z modlitwami zakonnic, albowiem Bóg nie opiera się nigdy modlitwom kobiety.

List ten nie pocieszył Heloizy: owe słowa, w których przewiduje śmierć swoją i prosi o złożenie zwłok swoich w Paraklecie, przejęły ją boleśnie; odpycha daleko od siebie myśl tę okropną... „jabym miała cię przeżyć, ciebie, który jesteś życiem mojem”?... potem wymawia mu gorzko, że on za wysoko ceni kobietę: kobiety były zawsze powodem największych nieszczęść dla rodzaju ludzkiego... on się myli zresztą, on niesłusznie ją chwali... ona nie jest ani dobrą ani pobożną ani roztropną, to pozory tylko, Bóg ją osądzi inaczej... wtedy nieszczęśliwa rozpoczyna spowiedź, na jaką nie zdobyło się nigdy żadne serce niewieście: stylem naiwnym i plastycznym, malującym nieraz rzeczywistość tak wiernie, że dzisiaj ani zwyczaj ani język nie zezwala na dosłowne poufałych zwierzeń tłumaczenie, odsłania wszystkie duszy swojej tajniki, wyjawia najskrytsze i najcichsze drganie myśli swojej.... widzimy ją klęczącą przed ołtarzem, łączącą śpiew swój z chórami zakonnic, rozmyślającą nad księgami zakonu, płaczącą samotnie wśród bezsennych nocy... a wśród tęg spowiedzi serce odsłania nam się tak wielkie, otwierają się w niem takie głębiny, że wzrok nasz ginie w tęg niezmierności.... a całą tęg niezmierność wypełnia jedno uczucie.... dla Boga nie masz tam miejsca, bo Abelard przebywa wszędzie, w najmniejszym zakątku... A jakie wydobywają się głosy z tego serca, jak rażące w wieku XII: mówi np.: więcej się lękam ciebie obrazić, niż Boga, więcej pragnę tobie się przypodobać niż Jemu... na twoje rozkazanie zostałam zakonnicą, a nie z miłości ku Niemu....

Odpowiedź Abelarda jest nauką kapłana po usłyszanej spowiedzi: w tęg, która uczyniła tęg spowiedź, rozdzierając serce czytelnika, widzi on tylko oblubienicę Chrystusa, a przemawia do nięg jak sługa tegoż Chrystusa. Rozbiera systematycznie wszystkie jęg żale, wykazuje ich bezzasadność,

tłumaczy jęj, że cierpienia zesłane przez Boga koniecznemi są do dostąpienia chrześcijańskiej doskonałości.... tylko raz jeden zdradza się z boleścią swoją, błaganiem, by nie wspominała więcej o przeszłości. Heloiza usłuchała jego rozkazu i w trzecim liście po krótkim oświadczeniu, że posłuszna jego woli nałoży hamulec słowom i nie wspomni nigdy o tém, co minęło bezpowrotnie, przechodzi do kwestyi czysto teologicznej: prosi go o dokładną historią żeńskich zakonów, o wykład ich praw i przywilejów, nareszcie o nową regułę, lepiej przypadającą do potrzeb zakonnic Parakletu, niż surowe przepisy ś. Benedykta.

Więcej listów Heloizy nie mamy, nie wiemy nawet, czy napisała więcej: te trzy które nas doszły, zrobiły jęj sławę, a sława ta zmieści się w kilku słowach: tylko jedno nią włada uczucie, a tém uczuciem miłość; w niej żyje i nią przejęła się w takim stopniu, że nie zdołała więcej odłączyć siebie od miłości swojej; ztożsamiała się z nią, wyrzekła się własnej indywidualności, ażeby zlać się zupełnie z przedmiotem kochania swego. Potomność uznała to bezwzględne wyrzeczenie się własnej woli, tę wspaniałą bezinteresowność, dochodzącą do ostatnich granic zapomnienia o własnym jestestwie; dlatego wyrzyło się imię jęj głęboko w pamięci narodowej, od sześciu wieków nie wygasła ani jedna z niego litera, jaśniej dotąd w całości, otoczone aureolą poezyi, jak mało które... A jęj małżonek? czyż wyniesiemy Heloizę z ujmą jego sławy?... ona sama odrzuciłaby z pogardą takie wyniesienie. Czyż on zimnym pedantem, jak twierdzi Michelet, że on, kapłan i mędrzec, wyrzekłszy się świata, zastąpił miłość kochanka przywiązaniem brata? czyż on nieczułym, że z jęj zbolełego serca wyrывa jedno po drugiem, wszelkie doczesne wspomnienia? że odwraca miłość Heloizy od siebie do Odwiecznego Oblubieńca, któremu zaślubiła żywot swój? Jeżeli nie zdołał wyleczyć zupełnie zbolełego serca, to mu wrócił przynajmniej spokójność; jeżeli namiętności nie wygasły, to jednak przycichły na zawsze. Odtąd pozostaje on w najserdeczniejszych stosunkach z Parakletem: na żądanie Heloizy posłał jęj obszerną rozprawę o powstaniu żeńskich zakonów, oraz starannie wypracowaną regułę dla jęj klasztoru. Nie był to list ostatni: mamy jeszcze kilka późniejszych, już to w całości już to w ułamkach, z których przekonywamy się, że z bra-

terską troskliwością czuwał nad młodą kongregacją; posyła tam książki, modlitwy własnego utworu, hymny i teologiczne rozprawy i tak pozostał i nadal duchową głową całego zakładu: zakonnice nazywały go ojcem swoim i panem.

8. *Abelard na nowo professorem w Paryżu; nowe zarługi, mistycy i Bernard ś.* Abelard porzuciwszy klasztor swój, doznawszy przez czas niejaki gościnności hr. Nantes, udał się (około r. 1136) na nowo do Paryża i tam raz jeszcze wystąpił publicznie na górze ś. Genowefy, gdzie niegdyś młodzieńcem będąc okrył się sławą (16). Nastąpiły chwile najszcześniejsze w jego późniejszym życiu; niebawem odzyskał dawną sławę a z nią dawne siły: listy uczone do Heloizy i do zakonnic Parakleta, wykończenie obszernych dzieł filozoficznych i teologicznych, wypełniały czas jego i wróciły mu od lat wielu nieznaną swobodę. Była to pogoda zachodzącego słońca, ale już na przeciwnym horyzoncie piętrzą się ciemne chmury, które je zakryją na zawsze.

Wspomnieliśmy już dawniej, gdy w pobliżu miasta Troyes, w murach Parakleta odzyskiwał dawną władzę nad młodzieżą, że już wtedy silny prąd przeciwny mu opinii nuro-

(16) Zaświadcza fakt ten Jan z Salisbury, najdowieczniejszy i najwykwintniejszy stylista XII stulecia. Ur. w Anglii około r. 1110 kształcił się we Francji, wraca do kraju r. 1151, gdzie trzech z kolei arcybiskupów w Canterbury jest sekretarzem, przyjacielem i niejako prawą ręką; przy schyłku życia powołano go do Francji na biskupią stolicę w Chartres, gdzie † 1180. Mistrza swego Abelarda wspomina zawsze z wielką wdzięcznością. Mówi on więc w swoim *Metaphisicis* ks. II. rozdz. 10: Cum primum, adolescens admodum, studiorum causa migrassem in Gallias, anno altero postquam illustris rex Anglorum Henricus, Leo justitiae, rebus excessit humanis, contuli me ad Peripateticum Palatinum, qui tunc in monte s. Genovefae clarus doctor et admirabilis omnibus praesidebat. Ibi ad pedes ejus prima artis hujus rudimenta accepi, et pro modico ingenio mei, quidquid excedebat ab ore ejus, tota mentis aviditate excipiebam. Deinde post discessum ejus, qui mihi praeproperus visus est, adhaesi magistro Alberico..... Mowa tu o królu Henryku I, trzecim synu Wilhelma Zdobywcy, który panował od r. 1110—1135. Przybył więc Jan z Salisbury do Paryża r. 1136. Co zaś do słów „praeproperus discessus” nie rozumiemy, jakoby Abelard wkrótce po tem szkołę swoją zamknął: tak je tłumaczy Charles Remusat w I tomie str. 171 swego „Abelard.” Jesteśmy przekonani, że był to odjazd Abelarda na sobór Seunonów r. 1140 i że do tego czasu bez przerwy wykładał, inaczej trudno sobie wytłumaczyć i niechęć św. Bernarda i zawziętość soboru, głównie z powodu jego nauczycielskiej działalności powstałą.

wał Francją i że już wtedy byłby uległ, gdyby los nie był go zaniósł aż nad wybrzeże Bretanii. Opinia ta rosła w siłę a walka z nią stawiała się coraz mniej możliwą, gdyż walka z duchem czasu nadaremna jest. Wspomnieliśmy już, w kim duch ten się uosobił, przytoczyliśmy imiona ś. Norberta i ś. Bernarda. Ś. Bernard już niegdyś wielce mu był nieprzychylnym, teraz gdy Abelard na nowo dobijał się berła idealnego nad oświatą kraju, Bernard stanowczo wystąpił i stał się głównym sprawcą jego upadku. Powiedziano ztąd wiele złego o Bernardzie i kościele, który on przedstawiał; wołają, że prześladowano Abelarda i on sam to mówi, ale słowo to bardzo dwuznaczne. Prześladować kogo za mniemania, piękny to frazes, wystarcza żeby wywołać oburzenie i litość wszystkich; ale nie mieszajmy pojęć: co innego prześladować, a co innego pokonać w słusznej walce. Prześladowanie może tylko mieć miejsce przed walką albo po niej, wśród walki ono nie istnieje. Abelarda prześladowano w istocie, ale niegdyś, gdy na nielegalnym soborze w Soissons uległ zawiści współzawodników; ale wtedy uczyniono mu zadość, całe wyższe duchowieństwo ujęło się za męczennikiem. Od owego czasu upłynęło lat kilkanaście, duch czasu się odmienił, a ci, którzy stawają przeciw niemu, muszą stoczyć bój zacięty, w którym zwykle ulegną, duch wieku przejdzie po nich, zgruchocze ich; nam wolno płakać nad ich losem, ale nie wolno złorzeczyć zwycięzcom. Abelard stoczył bój taki i uległ, czyż dla tego męczennikiem? Bernard ś. go zwyciężył, czyż dla tego prześladowcą? Ci którzy zwycięstwo Bernarda uważają za straszną winę, zapomnieli snąć, że on przebaczył po zwycięstwie.

Ś. Bernard jest najwznioślejszą postacią XII stulecia, jest on ideałem chrześcijańskiej abnegacji; jego wątłe ciało, wycieńczone postami i bezustannością umartwień, nie istniało prawie, było tylko przejrzystą obłoną wielkiego ducha, który wciąż zewnątrz przebywał czyto w czynach czy w słowach. Wciąż działał albo mówił albo pisał: jego natchnione kazania wzniewały entuzjazm pokuty, namiętność klasztoru; żony ukrywały mężów, siostry braci zwoich, gdy święty przechodził przez okolicę, aby nie porzuciwszy domów swoich nie udali się za nim.... Gdy Innocenty II uchodząc z Rzymu przed nieprawnym rywalem Anakletem, przybywa z małym

orszakiem wiernych kardynałów do Francyi, gdy jeszcze niepewném, czy możni tego świata oświadczą się za nim lub za rywalem jego, Bernard spieszy sam na spotkanie dostojnego tułacza, wiedzie go w tryumfalnym pochodzie po przez miasta francuzkie, a lud korząc się przed świętym, wita papieżem tego, którego on broni; potem cesarza i dwóch królów (francuzkiego i angielskiego) sprowadza Bernard do stóp Ojca ś. i nakłania ich do hołdu wierności, nareszcie uzbraja cesarza (Lotara) i razem z nim wiedzie Innocentego do Rzymu... A później, gdy położenie chrześcian w Ziemi św. staje się z dniem każdym nieznośniejsze, dość jego ognistej wymowy... a dwaj najpotężniejsi mocarze zachodu, cesarz giermański i król francuzki przypinają krzyż czerwony i z kwiatem swego rycerstwa idą na odsiecz grobowi świętemu. Na głos Bernarda zważał Zachód cały, jego wychowawcy siedzieli po biskupich stolicach i nawet na tronie papieżkim, z zacisza klasztoru swego kierował on polityką rządów, czuwał nad moralnością i przekonaniem duchowieństwa, nad sprawami i pożyciem wielkich panów; wszystkich ujmował sobie i do siebie przyciągał, najwyższe dostojenstwa odrzucał, kontentując się swoim opactwem i duchowem berłem nad Zachodem całym. Otóż mąż ten stanął do walki z Abelardem, a walka ta była nieuniknioną: Bernard ś. pielęgnując w sobie skarb niezachwianej wiary, której zawdzięczał natchnienie swoje w mowie, a pewność siebie w czynie, bawił na pogodnych wyżynach wzniosłego mistycyzmu i zatopiony w intuicyi Prawdy Najwyższej spogląda z politowaniem na tych, którzy szukają bezustannie, często bez celu... Uosobieniem takich ludzi Abelard, on nie spoczywał nigdy, on szukał ciągle. Hasło jego brzmi: szukanie jedyną drogą do prawdy, powątpiewanie jedynym do niej kluczem... Wspaniała maksyma, na niej oparta cała wielkość nasza, cała przyszłość rodzaju ludzkiego; jeżeli własną pracą nie przywłaszczymy sobie prawdy, nie ma ona dla nas wartości, wolimy drogę do niej mozolną, niż prawdę gotową. Szczytną myśl tę wypowiedział Abelard w XII wieku, ale nie była ona nową, gdyż cały rozwój chrześcijaństwa na niej polega a najwomówniej świadczą długie zastępy Ojców kościoła, że nie zapomniano o niej nigdy. Ale bezwarunkowe szukanie nie zawsze jest na czasie, czasem dobrze, gdy się zatrzyma u szrank

pewnych, a zasługą Bernarda, że tego dokazał. Nie fanatyzm zresztą, lecz dokładna znajomość rzeczy skłoniły go do tego czynu. Posiadał to same wykształcenie co Abelard, przyswoił sobie wszystko co wówczas przystępném było dla ludzkiej wiedzy. Abelard był wyższym w dyalektyce, Bernard głębszym w pomysłach; pierwszy nakształt bystrzej rzeki unosi wszystko, cokolwiek napotkał w biegu; drugi podobny do spokojnego jeziora, którego dna nikt nie zgłębił. Abelard w ciągłej walce, w ciągłych dysputach, wyrzucał na wsze strony nowe codzienn dowody, niby błyszczące rakiety, a na-
zajutrz o nich zapomniawszy szukał innych. Znamy te walki scholastyków, cała polemika Abelarda wydobyta została na jaw staraniem Cousin'a... ale w tej polemice często chwymano się za słowa, często subtelnością ledwo zrozumiałych abstrakcyi odurzano raczej przeciwnika, niż przekonywano.

Cóż więc dziwnego, że głęboki, kontemplacyjny duch Bernarda zbrzydził sobie tę szermierkę języków, że wołał rozpamiętywać prawdę, niżeli napróżno o niej rozprawiać. Dokąd zresztą miały doprowadzić te spory? Abelard szukał!.. ale wybierającym się w drogę potrzeba zapasów, a gdy się wyczerpną, radzi ostrożność poczekać, aż nie nadejdą świeże, inaczej pomrzemy marnie, nic nie zrobiwszy. A jakie to zapasy brali z sobą w drogę dyalektycy? kilka stronnicy wyrwanych z Arystotelesa, kilka logiczno-grammatycznych wiadomości: one miały starczyć na wszystko. Duch jeden znakomity wydobył z tych szczupłych zasobów świetną syntezę, syntezą tą jest system filozoficzno-teologiczny ś. Anzelm; można było niektóre jego szczegóły zacząć, inne obszerniej rozprawać lub głębiej wydrążyć, ale chcieć dalej zająć, jak zaszedł Anzelm ś. ze zasobami XII wieku, było szaleństwem. To też Abelard mimo gienialnego rwania się naprzód nie zdobył się na żadną nową syntezę, bo synteza jest składaniem czegoś, a tego „coś” nie było. Zamiary jego wielkie, osobiste przymioty również wielkie, ale nie wsparty żadną realną, przedmiotową nauką, kusił się napróżno o uskutecznienie olbrzymich zamiarów. Czytamy np. w przedmowie jednego z jego dzieł, że tekst Pisma ś. zepsutym jest, że wiele dzieł apokryficznych podsunęto pierwszym chrześcijańskim myślicielom, że w Ojcach kościoła pełno myśli, wyjętych z pogańskich filozofów, nie zasługujących zatem na bezwzględną

wiarę. Zaiste czyn wielki, rzucać w ciemnym barbarzyńskim stuleciu problemy, które poruszają dzisiaj do głębi cały świat uczony, ale jest to wielkość szaleństwa. Dzisiaj gdy posiadamy Pismo ś. w oryginale a obok niego stopy źródeł dotyczących się początków chrześcijaństwa, gdy mamy na zawołanie nasze wszelkie języki Wschodu, gdy wytężona praca historyków i archeologów przygotowała materiał nieprzejezdzany, stoimy w obec tych samych problemów i wyznajemy, smutnie, że wypadnie odkryć jeszcze wiele ogniów pośrednich, wiele dat pomocniczych i faktów, zanim choć w części rozwiążemy te zawiłe kwestye. A wtedy? gdy zamiast pierwotnego wzoru miano tylko przekłady a pomocniczych zasobów prawie żadnych? Posługiwano się tylko jedną bronią, subtelną dyalektyką. Ale wystawmy sobie tę subtelną dyalektykę, jak bez żadnych dan obiektywnych rzuca się na tekst, którego pierwotowzoru wcale nie zna, a odgadniemy łatwo potworne kombinacye, dowolne przekręcania, które musiały być takiego postępowania nieodzownym wynikiem. Jest to więc Francyi chwała nie mała, że w wieku XII gdy szczupłe zasoby wiedzy zupełnie już były strawione, gdy już nie można było budować dalej, ino burzyć, powstała wielka szkoła paryzkich mistyków, która ze wstrętem odwróciwszy się od logicznych formalności, zastanawiając się nad wewnętrzną istotą człowieka i nad ideą Boga, przekazaną w chrześcijańskiej tradycyi, chciała zdobyć się na system nowy, na nową syntezę coby zadowolniła ludzkość, zmęczoną bezustannym szukaniem. Prawda, że ta *szkoła ś. Wiktora*, jak zwykle się nazywa, nie jest wolną od błędnych jednostronności, wyznajemy to otwarcie, albowiem walka przeciw przesadnej jednostronności rodzi zwykle jednostronność nową i tak ubolewać można słusznie nad niektórymi zdaniami, co powstały w łonie tej szkoły, np. że rozum nie zdoła objąć prawdy bezwzględnej, że mistyczna kontemplacya wyżej stoi i więcej nam odsłania od rozumu; nie przeczymy nareszcie, że i Bernard ś. czasem jednostronny, bo któż nim nie był wtedy, w owój opoce stromych przeciwnieństw? I tak twierdzi np., że wszelkie rozumowanie nie zmierzające do zbawienia duszy naszej, jest nie tylko niepotrzebnym, lecz nawet niebezpiecznym; ale jednostronne te mniemania zasłużywszy się dobrze w rozwoju chrześcijań-

skieję oświaty, zniknęły później bez szkody przy dalszym postępie ludzkości (17).

Mistycyzm więc panujący wtedy w szkole ś. Wiktora w Paryżu i reforma Bernarda, przedsięwzięta w obrębie życia zakonnego, oparły się wspólnie dowolnym interpretacyom Pisma ś. i objaśnianiu teologii za pomocą dyalektyki. Nie przeczymy, że do tych uprawnionych przeciwników przyłączyli się wszyscy ci, którzy trawieni zazdrością lub chęcią zysku, nie mogli znieść blasku Abelardowej sławy; ale każda najświętsza nawet sprawa liczy pośród żołnierzy swoich nie

(17) Sąd nasz wyda się niejednemu bardzo dziwnym: zwykle mistyków nazywają zapaleńcami, którzy albo wprost szkodzili filozofii, albo pozostali zupełnie po za jej rozwojem. A przecież mistycyzm towarzyszy uporeczywie dziejom filozofii, jest więc wynikiem naszych potrzeb duchowych. Ile razy szkół kilka również silnych ze sobą walczy a koniec walki zdaje się nierozstrzygniętym, tyle razy mistycyzm i sceptycyzm domagają się nawzajem praw swoich. Gdy bowiem kilku również zdolnych myślicieli się spiera a załatwić swego sporu nie mogą, wtedy człowiek zwyczajny, któremu wszelka zawilodość wydaje się arcy-prostą wszelka trudność arcy-latwą, zawyrokuje, że nie pewnego o całej rzeczy wiedzieć nie można; człowiek zaś wyższy, trawiony miłością prawdy, cofa się w siebie i szuka jej wewnątrz siebie: wtedy oderwawszy się od świata, zagroździwszy sobie drogę zmysłów, ogranicza się nieraz na doświadczeniu wewnętrznem; drogę zaś do niego upatruje w *kontemplacyi*. Oczywiście nie wynaleziono na tej drodze żadnej nowej prawdy, ale nieraz udało się mistykom za pomocą uporeczywej kontemplacyi wdrożyć się głębiej w znane już prawdy i lepijć pojąć ich prawdziwą istotę; ponieważ zaś do bezustannej kontemplacyi łączyli ogień niezachwianej wiary i siłę wyobraźni, nagromadzili oni w dziełach swoich wiele ożywczego ciepła, którem pokrzepił się niejeden z filozofów późniejszych. Z alexandryjskich mistyków np. czerpali w IX wieku wielki Szkot Erygena a w XV i XVI stuleciu niejeden z włoskich platończyków; z germańskich mistyków czerpała pełnemi dłońmi nowsza niemiecka filozofia, a przed innymi Szelling. Dla tego mają potomki dla mistyków szacunek niemający, a często nawet niewymowną sympatya; dla wątpieli zaś ex professo najczęściej nieograniczoną pogardę, gdyż zimno od nich wionące zmroziło wiele młodych kwiatów, wiele pięknych nadziei.... Szkoła paryzka św. Wiktora tak się nazywa od klasztoru pod Paryżem, gdzie uczył znany już czytelnikom Wilhelm z Champeaux. Głównym jej założycielem *Hugo a S. Victor* (1079—1141), przyjaciel św. Bernarda. Powiada on w głównem swojem dziele „de sacramentis” lib. I. p. 10. c. 1. anima... acceperat oculum, quo extra se mundum videret, et ea quae in mundo erant: et hic erat oculus carnis. Alium oculum acceperat, quo se ipsam videret, et ea, quae in ipsa erant: hic est oculus rationis. Alium rursus oculum acceperat, quo intra se Deum videret et ea, quae in Deo erant: et hic est

mały zastęp egoistów, popierających ją wyłącznie dla widoków osobistych. Ale wtedy nie spada wina na przewodzców, oni nie mogą znać skrytej intencji każdego ze swoich walecznych. Tak się i teraz stało. Ledwo zachodzące słońce Abelardowego imienia opromieniło raz jeszcze wzgórze ś. Genowefy, powstali wszyscy lękający się zapomnienia i nicości obok potężnego dyalektyka i spiknęli się na jego zgubę. Stosunki jego z ś. Bernardem były zimne, ale grzeczne; mniejsze nieporozumienia np. co do różnych odmian zaprowadzonych w liturgii Parakleta a których Bernard nie pochwalał, załatwiano uczonemi listami (18). Heloiza zresztą czuwała nad małżonkiem swoim a używając nadzwyczajnego szacunku u ś. Bernarda, zaszczycana jego listami i odwiedzinami, łagodziła niechęć jego. Mimo to zbliżała się katastrofa szybkimi krokami.

oculus contemplationis. Tenże de mod. dic. et medit. w rozdz. 8. *Tres sunt animae rationalis visiones: cogitatio, meditatio et contemplatio...* *Contemplatio est vivacitas illa intelligentiae, quae cuncta in palam habens manifesta visione comprehendit et ita quodammodo id, quod meditatio quaerit, contemplatio possidet...* Po nim zarządzał szkołą *Ryszard a s. Victore* który † 1173; cała ta szkoła badając stan wewnętrzny duszy, położyła, jak na owe czasy, niemałe zasługi o psychologią; w tém zaś ona wyższą od ówczesnych dyalektyków, że jakkolwiek treść swoich rozmyślań wydobywała w większej części z gorącej wyobraźni, zawsze rozporządzała treścią jakąś, podczas gdy dyalektycy, utkwivszy w obumarłym formalizmie, prawie żadnej nie mieli treści duchowej.

(18) Zob. Abelarda epist. V. do św. Bernarda i jego sermon. XIII. Św. Bernard przybywszy w odwiedziny do Parakleta, zadziwił się nie mało, że zakonnice odmawiając Modlitwę Pańską, proszą o „chleb nad istotny;” małą tę różnicę znajdującą się już w Piśmie św. zaprowadził Abelard do liturgii klasztoru. W Wulgacie bowiem czytamy u Łukasza XI. 3. *panem quotidianum* a u Mateusza VI. 11. *panem supersubstantialem*. Abelard utrzymywał, że Mateusz zasługuje na większą wiarę, gdyż nauczył się modlitwy od samego Chrystusa Pana, podczas gdy Łukasz takową usłyszał od św. Pawła. Nie wiemy, co spowodowało św. Hieronima tłumaczyć ten sam wyraz grecki *ἄρτον ἐπιούσιον* w dwojaki sposób. Można by twierdzić, że *ἐπιούσιος* pochodzi od *οὐσία*, istota, substancja, i że ukrywa w sobie głęboki sens metafizyczny; przecież wyraz ten greckiej filozofii zupełnie nieznany, jest prawdopodobnie płodem barbarzyńskich grecko-azyjskich narzeczy, w których jedném napisano Nowy Testament. Pochodzi wtedy od *ἡ ἐπιούσα* „dzień nadchodzący” i prawdopodobnie znaczy to samo, co rzymskie *quotidianus*.

Abelard podawał metodę a uczniowie zastosowywali ją bezwzględnie; ale takie bezwarunkowe przeprowadzenie śmiałej nader metody musiało pociągnąć za sobą skutki niebezpieczne. Wolność i niezależność myśli, której bronił nauczyciel, stała się w uczniach samowolą niepopartą żadnymi naukowymi zasobami a samowola ta zagrażała wszystkiemu: jednym z uczniów Abelardowych był Arnold z Brescy, który wicherzył po Włoszech przeciw władzy papieża i wpływowi duchowieństwa (19); wygnany z Włoch wrócił do swego mistrza do Paryża, a zapaleńców takich było bezwątpienia więcej na górze ś. Genowefy; obecność ich i śmiałe prowokacye służyły za pretekst wyborny wszystkim tym, którzy prześladowali Abelarda dla celów osobistych, a zasmucały niemniej i niepokoiły Bernarda i mistyków, oraz wszystkich mężów szlachetnych, którzy pragnęli wrócić kościołowi hart i świetność dawną. Przyjaciele zaś Abelardowi choć piastowali wysokie dostojeństwa w kościelnej hierarchii, bronić go nie mogli, nie chcąc narażać się Bernardowi, i tak nie mógł Abelard na nikogo liczyć w chwili niebezpieczeństwa, chyba na uczniów swoich młodych, krzykliwych, nie mających ani wpływu ani znaczenia.

9. *Abelard potępiony powtórnie na soborze w Sens, jego tulactwo, schronienie się do Cluni i śmierć. Ostatnie chwile Heloizy.* Przed burzą nastała cisza złowroga. Bernard odebrał od niejakiegoś Wilhelma, mnicha z Cîteaux, list wytykający szkodliwe innowacye Abelarda i wykazujące aż trzynaście zdań heretycznych w dziełach jego. Bernard choć o wszystkich tych zarzutach wiedział od dawna, zajęty

(19) *Arnoldo di Brescia* ur. 1100 r. powstawał przeciw bogactwom duchowieństwa a później i przeciw świeckiej władzy papieża; wywoławszy wielkie zaburzenia w północnych Włoszech, schronił się do Francji a ztamtąd przeniósł się później do Szwajcaryi. Jakkolwiek potępiony r. 1139 na soborze laterańskim, opanował jednak Rzym już w r. 1144 i przywrócił starodawną rzeczpospolitą ze senatem i innymi klasycznymi formami, co było jego ulubioną utopią. Cień ten wywołanej z grobu rzymskiej rzeczpospolitej podtrzymywał z niemalym fanatyzmem i zaparciem się siebie przez lat 10, aż poskromiony przez cesarza Fryderyka Rndobrodę, spalony został żywcem w zamku św. Anioła na rozkaz Adryana IV. Co do stosunków jego z Abelardem, bardzo zresztą niepewnych, jedyne prawie świadectwo stanowią listy św. Bernarda, trudno jednak nie dawać wiary znakomitemu ich i szlachetnemu autorowi.

wówczas nie mało publicznemi sprawami kościoła, nie mając z resztą żadnej ochoty rzecz całą uczynić nader głośną, odpisał pobożnemu donosicielowi bardzo sucho, że weźmie rzecz całą pod rozwagę (20). Gdy jednak tenże bez wątpienia częściej nalegał, Bernard zobaczył się kilka razy z Abelardem pragnąc załatwić sprawę całą w sposób poufny i przyjacielski; on bowiem walczył tylko przeciw zasadom, osoby zaś chętnie oszczędzał. Gdy jednakże schadzki te nie doprowadziły do żadnych skutków stanowczych, a zapal uczniów coraz więcej oddalał nawet pozór zgody, gdy stronnicy obu obozów miotali coraz gęściej i z coraz większą zapamiętałością na siebie obelgi, stary Abelard dał się porwać wojennej wrzawie. Dumny i niezłękniomy jak niegdyś za dni młodości, wystąpił sam do boju nazywając przeciwników swoich złośliwcami i ludźmi bez mózgu. Wtedy i Bernard zapłonął świętym gniewem i również cierpko odpowiadał.

Abelard nareszcie znudzony zarzutami i obelgami, które miotały na się obydwie obozy, a które nie załatwiając sprawy takową pogarszały, postanowił rzecz całą zakończyć po rycersku. Na Zielone Świątki r. 1140, król Ludwik VII chciał pielgrzymkę odbyć do miasta Sens, ażeby pomodlić się u grobu męczenników, których tam wiele przechowywano relikwii. Gdy w skutek tego zaprosił arcybiskup Sennonów do stolicy swojej nader liczne grono prałatów, ażeby uczcić obecność króla, Abelard podał do niego jako do metropolity paryżkiej dyecezyi prośbę, ażeby zamienić przypadkowy zjazd duchowieństwa w sobór, przed którymby wyłożył mniemania swoje i oczyścić się z zarzutów, zewsząd jemu czynionych. Arcybiskup, któremu dostawał się zaszczyt niespodziany przydziału do soboru, przyjął prośbę łaskawie i zaprosił opata z Clairveaux, ażeby z Abelardem rozprawił się przed soborem. Bernard z razu oświadczył, że nie świadomy dyalektyki nie może się mierzyć z Abelardem, który wprawiał się do niej od dzieciństwa, że nie godzi się wystawiać istoty wiary na szwank ludzkich rozumowań, że do potępienia Abelarda wystarczają dzieła jego, że nareszcie stanowić o dogmatach

(20) List Wilhelma ze Saint-Thierry, którego Bernard św. dosyć lubił, był wystósowany do Bernarda i do biskupa Geoffroi z Chartres, przyjaciela Abelardowego i obrońcy na soborze w Soissons. Biskup ten zdaje się nie nie odpisał i w całej sprawie zachował się neutralnym.

nie jest rzeczą zakonnika, lecz biskupów (21). Jednakże równocześnie zachęcał biskupów, ażeby nie zaniedbali sprawy i stanęli w obronie wiary (22).

Abelard znowu rozgłaszał, że stanie w szrankach ze samym Bernardem, że walka z nim będzie niejako sądem Bożym, a wynik walki okaże po której stronie prawda. Wybierano się więc zewsząd na tak niezwykle widowisko. Bernard także uległ przyjaciółom, choć niechętnie i pojechał, smutny i nieprzygotowany, jak sam powiada (23). W obecności króla i dworu, w świetnej asystencji znakomitych prałatów i pierwszych biskupów Francji otworzył arcybiskup Sennonów (miasta Sens) z nadzwyczajnym przepychem sobór 3 czerwca 1140 r. Wśród uroczystej ciszy, pełnej uczuć złowrogich, ukazał się Abelard: chód jego jak zawsze wspinały, postawa wyniosła, na twarzy cierpienia długich lat nie zatarły jeszcze ostatnich śladów piękności: tak stanął zamyślony w środku kościoła. Naprzeciw na kazalnicy Bernard ś. błady i chwiejny, oskarżał go przed soborem; w rękę trzymał dzieła jego i siedmnaście zdań z nich wyjętych, oznaczonych piętnem herezyi; gdy jednak na rozkaz jego przystąpiono do czytania tychże, Abelard oświadczył wbrew oczekiwaniu wszystkich, że nie uznaje powagi soboru i że apeluje do głowy kościoła, poczem wyszedł. Nastąpiło ogólne zdumienie; nikt nie spodziewał się takiego końca: nie wiedziano co począć. Co spowodowało Abelarda do takiego kroku, trudno dzisiaj odgadnąć; ponieważ akta soboru zaginęły, znamy przebieg jego tylko z listów ś. Bernarda i z relacji biskupów posłanej do Rzymu. Najprawdopodobniej uląkł się Abelard zgromadzenia, gdyż je zastał inném niż się spodziewał; nie przybył jako oskarżony, gdyż go nie wezwano, lecz żeby dysputować; ale gdy w miejsce zwyczajnej dysputy usłyszał oskarżenie z ust świętego męża, któremu król i zgromadzenie podlegali bez-

(21) Bernardi epistol. 189. Abnui, tum quia puer sum, et ille vir bellator ab adolescentia, tum quia iudicarem indignum rationem fidei humanis committi ratiunculis agitandam.... Dicebam sufficere scripta ejus ad accusandum eum.

(22) Bernardi epist. 187 ad episcopos senonas convocandos.

(23) Bernardi epist. 189. Zob. także żywot św. Bernarda napisany przez sekretarza jego, Geoffroy, zakonnika, który niegdyś sam był uczniem Abelarda.

względnie, przypomniał sobie chwilę ową, gdy przed laty dziewiętnastu stanął z głową spuszczoną, niby winowajca przed duchownym sądem i nawet do słowa go nie dopuszczono; przekonany więc, że mimo najświetniejszej obrony zapadnie wyrok po myśli Bernarda, że o zwycięztwie mowy być nie może, gdyż zamiast niewinnego pojedynku na słowa ujrzał się przed sądem, wołał uniknąć nowego upokorzenia i poddać się Rzymowi, gdzie się spodziewał sędziów łagodnych i bezstronnych.

Po długim wahaniu się wydał sobor wyrok: Abelarda puszczonego wolnym, gdyż należał odtąd do apostolskiej stolicy, ale zdania jego znane od dawna publicznie, potępiono jako heretyczne. O wszystkim zaś spisano relacją, którą przesłano Ojcu ś. z prośbą aby potwierdził wyrok biskupów, zakazał Abelardowi nauczać publicznie a dzieła jego przeznaczył na zatracenie. Wyrok bardzo łagodny, jeżeli rozważymy straszne słowa, któremi potępiono jego naukę; bliżej jednak rozpatrując się w cztertnastu zdaniach, które z liczby siedmnastu oskarżonych potępiono, musimy wyznać, że wyrwane z wszelkiego związku wydają się daleko gorszymi niż w ciągu tekstu, że nie masz żadnego z pomiędzy nich, któreby nie dało się wytłumaczyć w jakiś sposób zgodny z wiarą, że nareszcie sam Abelard kilkakrotnie oświadczył, iż wszystko co się okaże mylnem, chętnie poprawi; zważywszy dalej, że wśród członków soboru było wielu mu niechętnych: dochodzimy do wniosku, że jednym chodziło więcej o metodę, o nauczycielską działalność Abelarda, niż o naukę samą, a drugim więcej o jego zuienawidzoną osobistość, niż o myśli jego; zdania prawie te same tolerowano chętnie w innych wielkich doktorach kościoła. Wyrok zaś dogodził i osobistym nieprzyjaciołom Abelarda i wszystkim tym, którzy lękali się dla kościoła niebezpiecznych następstw z bezwarunkowego przeprowadzenia śmiałej jego metody (24). Gdy osiągnięto jedno i drugie, więcej go nie prześladowano.

(24) Różno zdania Abelarda, oskarżone o herezyą, znajdzie czytelnik w następnym §, gdzie zastanowimy się nad ważniejszymi z nich nieco obszerniej. Sąd zaś, jaki wydaliśmy o powodach potępienia Abelarda, polega na następnych szczegółach: Abelard nie odwołał nigdy specjalnie zdań owych, wyluszczonych w akcie oskarżenia; znajdują się w pismach jego, a wiemy, że pracował nad nimi aż do śmierci swojej

Abelard schwyciwszy za łaskę pielgrzyma, rozpoczął mozolną do Włoch wędrówkę, ażeby szukać opieki w cieniu świętej stolicy; tymczasem stronnicy jego bronili go, choć w części bardzo niezgrabnie; jeden z nich, Berengar niejakiś, napisał nawet pamflet dość obszerny, w którym miota rubaszne obelgi na ś. Bernarda i na sobor cały: przeciwnicy odpowiadali również rubasznie, również zjadliwie. Przecież cała ta polemika niepokojąca umysły, nie miała celu, gdyż wyrok ostateczny zależał od usposobienia rzymskiej kuryi. Wszyscy wyglądali zarówno jej decyzji. Abelard miał przyjaciół kilku w gronie kardynałów, ale Bernard miał prawo do całkowitej wdzięczności Rzymu dla niezmiernych zasług oddanych chrześcijaństwu i dla załatwienia schyzmy, powstałej przez obór dwóch papieży. Chociaż zresztą stolica apostolska po ziemniejszej rozprawie nie uważałaby nauk Abelar-

i to pod okiem świętobliwych zakonników, którym zasady swoje rozwijał w rozprawach i kazaniach. Pogodził się także z św. Bernardem, a podstawą zgody była apologia, którą posiadamy jeszcze; otóż oświadcza w niej, że nie zboczył nigdy od nauki kościoła, że zdania jego jużto tłumaczono fałszywie, jużto sądzono z przesadnej formy, nadanej im przez uczniów zbyt nieoględnych, w czem widzi złośliwy podstęp przeciwników lub też lekkomyślną nieznajomość rzeczy. Każde zaś ze zdań swoich uważał za zgodne z prawdziwą nauką kościoła. Bernard św. przeczytawszy apologią był z niej zadowolony, pozostali odtąd w zgodzie aż do śmierci. Fakt ten świadczy najwymowniej, że Bernard św. uważał głównie metodę sławnego dyalektyka za niebezpieczną a nawet za zgubną w ręku zapalonych niedoświadczonych uczniów. Zresztą światlejsi późniejszych czasów teolodzy nie mają Abelarda za heretyka. Mabillon np. wydawca dzieł św. Bernarda powiada w przedmowie (§ 5): *nolumus Abelardum haereticum; sufficit pro Bernardi causa, eum fuisse in quibusdam errantem; quod Abelardus non diffitetur*. Wiemy że Abelard przez całe życie swoje nigdy nie zaprzeczył, że się często myli, bo któryż rozsądny człowiek postąpi sobie inaczej.... Inny zwolennik św. Bernarda, ks. Ratisbonne, uznaje w Abelardzie un respect sincère pour l'église et une foi vive et docile; zob. jego *Histoire de Saint Bernard*, tom II str. 24. Nareszcie O. Alexander Noël powiada w *Histor. Eccles.* tom VI str. 787: *non est censendus hereticus, nusquam errores suos pertinaciter propugnavit*. Tak łagodnie sądzą o dogmatycznych mniemaniach Abelarda światli duchowni, po części gorący wielbiciele św. Bernarda; żeby więc pojąć zawziętość soboru przeciw nieszcześliwemu myślicielowi, należy główny powód potępienia szukać w bojaźni pralatów, aby metoda Abelarda nie obróciła się z czasem na szkodę wiary, a poboczne powody w osobistej zazdrości kilku rywali, jak to wyżej wskazaliśmy.

dowych za nadzwyczaj niebezpieczne, nie mogła jednak poświęcić całego francuzkiego duchowieństwa ambicyi jednego człowieka. Odstraszały ją zresztą agitacye Arnolda wymierzone przeciw istnjącemu porządkowi politycznemu i społecznemu we Włoszech, a którego imię czytało się zawsze obok imienia Abelarda w listach ś. Bernarda. Wszystko to rozważywszy przychyliła się kurya rzymska do decyzji biskupów, zapadłej na soborze w Sens i w skutek tego ukazał się reskrypt Innocentego II, datowany z Lateranu pod dniem 16 lipca tegoż roku, który ogłasza naukę Abelarda za niezgodną z wiarą, nakazuje mu na przyszłość milczenie a zwolennikom jego zagraża ekskomuniką. Forma reskryptu jest godną i umiarkowaną. Równocześnie nadszedł tajny rozkaz w kilku słowach na ręce ś. Bernarda, ażeby Abelarda i Arnolda z Brescyi zamknąć w oddzielnych klasztorach. Arnolda przenoszącego się z miejsca na miejsce było trudno dostać, czekało zresztą na niego smutne przeznaczenie, rozniecić w ojczyźnie wojnę domową i poświęcić spokojność Rzymu politycznym swoim utopiom; co do Abelarda nie miał wcale Bernard ś. zamiaru korzystać z tajnego pełnomocnictwa, które mu nadano, gdyż w anielskiej swojej dobroci walczył tylko przeciw zasadom, gdy je uważał za niebezpieczne, a zasad wyznawców oszczędzał podług możliwości.

Abelard nie wiedząc o tém, że wyrok jego już w rękach Bernarda, odbywał dalej podróż do Rzymu; pewnego razu za zbliżeniem się nocy wstąpił do klasztoru nad drogą, było to sławne Cluni, z którym podanie łączy imię jednego z naszych królów. Bogaty zakład ten, obfitujący we wszelkie naukowe zasoby i wszelkie wygody życia, wystawiany nieraz na zaczepki ś. Bernarda i zwolenników surowszej zakonnej reguły, kwitnął wtedy pod opatem Piotrem, któremu przyznano za powszechną zgodą tytuł „czcigodnego” (venerabilis) (25).

(25) Cluni (Cluny) opactwo Benedyktynów, założone w X wieku, o mil kilka od miasta Macon (nad Saoną); sławne Citeaux było jego córką a Clairveaux, że tak powiem, jego wnuczką. Opat miał z razu tytuł „opata opatów” od r. 1126, kiedy na soborze w Rzymie przyznano tytuł ten naczelnikowi klasztoru Monte-Cassino, przełożony kluniacki zwał się urzędownie arcy-opatem, jak u nas tyniecki. W r. 1770 należało do opactwa tego 600 beneficjów i 2000 klasztorów w Europie. W roku

Był on uosobioną łagodnością; gdy Bernard ś. zbyt surowe stawiał żądania, on z dobrotliwym odpierał uśmiechem, że reguła ś. Benedykta powinna ustąpić powszechniej regule miłosierdzia. Mimo to dwaj ci świątobliwi mężowie, choć różnego charakteru i zasad różnych, żyli ze sobą w ścisłej przyjaźni opartej na niewymownym wzajemnym szacunku. Do Cluni więc zapukał biedny tułacz, skołatany chorobą i latami, prosząc o nocleg i posilenie. Na uprzejme prośby opata zatrzymał się dni kilka, ażeby pokrzepić się do trudów dalszej podróży: w tém przybył Raynard opat z Citeaux, który w imieniu Bernarda ofiarował zgodę. Piotr połączył prośby swoje z przedstawieniami pełnomocnika i Abelard się poddał. Dowiedział się zapewne od nich, że wyrok już zapadł w Rzymie, że już w ręku Bernarda, który z niego nie korzystał w wspianiałomyślności swojej, złamany zresztą cierpieniami ducha i chorobą ciała, znękany prześladowaniem, oczarowany poważną a przytém uroczą i wesołą ustronią opactwa Cluni i niewymowną łagodnością świątobliwego Piotra, oświadczył co już tyle razy uczynił, że odwołuje wszelkie zdania mylne i niezgodne z wiarą, poczem napisawszy apologią lub raczej wyznanie wiary, pojechał do Clairveaux. Ś. Bernard nie stawiał żadnych trudności i zadowolnił się apologią (26), Abelard znowu nie miał nigdy zamiaru wy-

1790 zakon zniesiono. Piotr „Czcigodny,” pochodzący z starożytnej i znacznej rodziny w Auvergne, odznaczył się również wielką nauką jak pobożnością. Zostawił różne rozprawy i listy teologiczne; podobno kazał sporządzić tłumaczenie Koranu. Z listów jego zajmują nas głównie trzy: jeden do Innocentego II, w którym prosi Ojca św. by dozwolił Abelardowi pozostać w Cluni; drugie dwa do Heloizy, z których pierwszy po bardzo długich i wyszukanych komplementach zawiera w końcu opis ostatnich chwil filozofa, drugi dołączony do absolucyi, przeznaczony na grób Abelarda, jako tenże umarł pod błogosławieństwem kościoła. Z listów Heloizy do Piotra mamy tylko jeden: dowiadujemy się z niego, że opat kluniacki kilka razy zawitał do Parakleta i że celem jego ostatniej wizyty było przeniesienie zwłok Abelarda. Wszystkie te listy są niezmiernie ważne, gdyż bez nich nie wiedzielibyśmy nie zgola o ostatnich chwilach filozofa. Piotr Venerabilis napisał także wierszem szumny nagrobek, z którego jednak tylko dwa ostatnie wiersze wyryto na próżnym grobie w Saint-Marcel:

Est satis in titulo: Petrus hic jacet Abailardus!

Huic soli patuit scibile quidquid erat.

(26) Zob. cośmy powiedzieli w przypisku 24-tym.

łamać się z pod powagi kościoła i tak zgoda doszła do skutku z łatwością. Postanowił potem Abelard przepędzić resztę dni swoich w Cluni, na co Innocenty II chętnie zezwolił; odtąd filozof porzuciwszy marne szkolne dysputy i wrzawę ambignego świata, żył jedynie rozmyślaniami i naukom. Chociaż posiadał godność opata i miał prawo do pierwszego miejsca po zwierzchniku klasztoru, ukrywał się wśród ostatnich nie dbając już o żadne względy; czas swój dzielił między kazania dla braci zakonników i prace naukowe, wszystkie namiętności, wszystkie żądze i uczucia wygasły w nim i tylko umysł jeden pracował. Tymczasem ustawały siły jego coraz więcej, choroba się zwiększała; opat Piotr myśląc, że odzyska może zdrowie za zmianą miejsca, posłał go do klasztoru ś. Marcellego nad brzegiem Saony w Burgundii. W tém rozkoszném ustroniu znękanym mędrzec ciągnął dalej ten sam sposób życia; cały dzień albo czytał, albo dyktował, albo rozmyślał; koniec jego zbliżał się widocznie; pojednany z Bogiem zasnął na zawsze, otoczony smutnym zastępem braci klasztornych, którzy płakali nad stratą mędrca: miał lat 63, gdy umarł 21 kwietnia 1142 r. (27).

Pochowano go najprzód w klasztorze ś. Marcellego; jednakże życzenie które wyjawiał lat kilka przedtem, aby zwłoki jego złożono w Paraklecie i pobożne niewiasty modliły się nad grobem jego, zostało spełnioném. Czcigodny opat kluński doniósł Heloizie o ostatnich chwilach jęj małżonka; w kilka miesięcy później, w listopadzie tegoż roku przybył on sam do Parakleta, nwiózłszy zwłoki filozofa potajemnie z klasztoru ś. Marcellego. Heloiza złożyła ciało mistrza i pana swego w nowo zbudowanym grobie w kaplicy ś. Trójcy a na grobie zawiesiła absolucyą opata Piotra. Jeszcze dwadzieścia jeden lat, otoczona sławą i przywiązaniem wszystkich, tęskniła smutnie za złączeniem się z małżonkiem, umarła dopiero r. 1164 d. 16 maja, mając także lat sześćdziesiąt trzy (28). Zwłoki jęj złożono w grobie męża, później

(27 i 28) W staréj kronice Parakleta (*calendarium coenobii Paracletensis*) czytamy: *Undecimo cal. maji, anniversarium M. Petri Abailardi, hujus loci fundatoris, nostraeque religionis institutoris...* Cokolwiek dalej tamże: *decimo sexto cal. junii, mater nostrae religionis Heloiza, prima abbatissa, documentis et religione clarissima, spem bonam ejus vobis vita donante feliciter, migravit ad Dominum...*

obydwóch kochanków złożono w jednej trumnie. Poezya ludowa ubarwiła to zdarzenie: gdy spuszczano drogie zwłoki, przebudził się małżonek ze snu wieczystego i przytulił do siebie długo oczekiwaną umarłą. Dotąd jeszcze spoczywają w tej samej trumnie: rewolucya francuzka, która zniszczyła tyle pamiątek narodowych, która zburzyła święte nawet mury Parakleta, oszczędziła tę sławną trumnę; na rozkaz pierwszego konsula przeniesiono ją do Paryża, nareszcie w r. 1817 złożono ją w osobnej wspianiałe kaplicy na cmentarzu Père-Lachaise, na mauzoleum wyryto w greckim języku „zawsze połączeni” a jak niegdyś tak i dzisiaj czułe serca składają tam wieńce i kwiaty, ażeby uczcić pamięć nieśmiertelnych kochanków (29).

10. *Główne nauki Abelarda teologiczne i etyczne.* Całość obrazu wymaga, abyśmy podali choć krótki zarys Abelardowej teologii; chociaż bowiem silnie władał dyalektyką i nawet dał nowej szkole początek, tak zwanym *conceptualistom*, za-

(29) Gdy w r. 1792 zniszczono klasztory we Francji, kazaly władze pobliskiego miasteczka Nogent-sur-Seine przenieść trumnę, mieszczącą w sobie doczesne resztki kochanków, do parafialnego kościoła ś. Wawrzyńca. W r. 1800 na rozkaz ministra Lucjana Bonapartego przewieziono zwłoki do Paryża, gdzie w ogrodzie ówczesnego Musée français p. Lenoir, twórca i zawiadowca zakładu, wystawił dla nich kaplicę, do której nżyto szczątków Parakleta i opactwa Saint-Denis. Przed pochowaniem trumny otworzono takową 23 kwietnia tegoż r. i przekonano się, że blacha ołowiana dzieliła ją na dwie części. W połowie zawierającej resztki Abelardowe, znaleziono większą część czaszki i dolnej szczęki, prócz tego żebra, kość pachczerwą i prawie całe uda i golenie. Po Heloizie zostały głowa i dolna szczeka w zupełnej całości; ramiona, uda i golenie także jak najlepiej zachowane. Po zbadaniu tych resztek doszli znawcy do następujących wniosków: Abelard był silnego i wysokiego wzrostu; Heloiza była także wysokiego wzrostu i proporcjonalnej budowy ciała. Głowa wykazuje rozmiary nadzwyczaj regularne, czoło mianowicie pięknie zaokrąglone, stanowiło całkowitą harmonią z resztą twarzy. Według odlewu czaszek wykonał p. de Seignie na początku tego wieku popiersia kochanków. Bliższe szczegóły znajdzie czytelnik w dziele p. Alexandra Lenoir; Musée des monumens français tom I str. 221 i nast. oraz w rozprawie jego: Notice historique sur la sépulture d'Héloïse et Abélard. Paris 1815. Gdy za czasów restauracyi rozproszono pomniki francuzkiego muzeum i sprzedano ogród jego, przeniesiono nadgrobową kaplicę na cmentarz Père-Lachaise i tam złożono trumnę na nowo 6 listopada 1817 roku. Na zewnętrznym fryzie pod gzymsem wyryto słowa: *Ἀε σὺν-πεπλεγμένοι*

wdzięcza przecież wpływ swój na ówczesne duchowieństwo przedewszystkiem teologii: ona także stała się prześladowań przyczyną, które przeplatały żywot jego licznemi cierpieniami. Bacząc jednakże na proporcją jaką powinniśmy zachować w pojedynczych częściach téj rozprawy, ograniczymy się na streszczeniu głównych punktów jego teologii i etyki opuszczając całą część polemiczną a podawając tylko syntezę dodatnich rezultatów: sądziliśmy że synteza ta nie będzie zupełnie obojętną dla czytelników, gdyż rzecz to zawsze ciekawa wiedzieć jak zapatrywał się na główne prawdy chrześcijaństwa mąż najwięcej obczytany w XII stuleciu, niepospolitym przytem obdarzony rozumem.

W pierwszych zdaje się czasach professorskiej swojej działalności napisał Abelard dzieło, którego tytuł obudzał podejrzenie niezwykle, tytuł bowiem brzmiał: *Tak i Nie, Sic et Non*. Dzieło to pogrążone w zapomnieniu przez długie wieki odszukał szczęśliwie Cousin i wydał w „Ouvrages inédits d' Abélard;” przekonano się wtedy, że treść jego zupełnie niewinna, chociaż nie przeczy my, że niezwykłą formą mogło w swoim czasie wzbudzać obawy wiernych. Najciekawszą zaś część jego stanowi przedmowa, w której autor wyklada metodę swoją, śmiałą i nawet niebezpieczną, jak na owe czasy; przytoczyliśmy już wyżej główne téj metody zasady, gdyśmy w § 8 opowiadali spór Abelarda z mistykami i ś. Bernardem a w przypisku umieściliśmy niektóre téj przedmowy ustępy po łacinie ku większej wygodzie czytelnika (30). Z tą metodą zabrał się autor do tłumaczenia

(30) W dziele *Sic et Non* zestawil autor różnorodne, jużto ważne jużto podrzędne kwestye teologiczne w liczbie sto kilkadziesiąt a raczój je poruszył tym sposobem, że pod każdą kwestyą zebrał wszystkie miejsca Pisma ś. i Ojców, które jużto za, jużto przeciw przemawiają. N. p. Quaestio 6: quod sit Deus tripartitus et contra? Qu. 35: quod nihil fiat Deo nolente? et contra: Qu. 51 quod homo liberum arbitrium peccando amiserit? et contra: Żadnej kwestyi nie rozwiązał, zestawil tylko smiennicze wszystkie *pro* i wszystkie *contra*. Jest to więc zbiór miejsc, zbiór źródeł, jakie professorowie niemieccy sobie sporządzają (quellensammlung), którym posługiwał się podczas wykładów i prac literackich. Powiedzieliśmy że treść zupełnie niewinna, gdyż autor zestawil tylko miejsca z Pisma ś. i Ojców, a własnego nie nie dorzucił, forma jednak mogła razić, gdyż uwydatnia jaskrawo sprzeczne mniemania, jakie co do tych samych przedmiotów panowały w łonie pierwotnej teologii. Co do metody samój da-

artykułów wiary; tłumaczenie to złożył w dwóch dziełach: *Introductio ad theologiam* i *Theologia christiana*, oraz w obszernym komentarzu do listu ś. Pawła do Rzymian.

Twierdzi, że wiara nie powinna pozostać jakąś naga, skądś nam przekazaną i w milczeniu przyjmowaną treścią; treść taka, choćby zapewniano, że wprost pochodzi od Boga, nie ma dla nas żadnej wartości, gdyż brak jej rozumnego przeświadczenia; dopiero wtedy wierzyć się godzi, gdyśmy się przekonali, że rzecz się tak ma, a nie inaczej (31). Zachodzi jednak pytanie, czy rozum, owa niezbędna wiary podstawa, jest w ogóle zdolnym do obejmowania tajemnic wiary? czyż potrafi zgłębić, a zgłębiwszy zrozumieć istotę Najwyższego? Na to pytanie sam rozum odpowiada: przec istota jego na tém polega, że się wyrwa bezustannie po za granice doczesnego świata, że ściga za tém nieznuzenie, czego zmysły nigdy nie mogą osiągnąć; im więcéj zatém przedmiot jaki przekracza granice doczesności, im daléj on pozostaje po za dziedziną zmysłów, im nareszcie wyższy i doskonalszy, tém godniejszą on będzie rozumu zdobyczą. Przec człowiek obrazem i podobieństwem Najwyższego, a rozum główném tego podobieństwa znamięniem, to téż niczem nie zajmuje się chętniéj jak przedmiotem, do którego on sam podobien: wystarcza więc zupełnie, żeby objąć Boga, czego już dowiedli

jemy kilka wyjątków z przedmowy: Cum in tanta verborum multitudine nonnulla etiam sanctorum dicta non solum ab invicem diversa, verum etiam invicem adversa videantur, non est temere de eis iudicandum.. Pleraque apocrypha ex sanctorum nominibus, ut auctoritatem haberent, intitulata sunt, et nonnulla, in ipsis etiam divinorum testamentorum scriptis, scriptorum vitio corrupta sunt... Beato quoque attestante Hieronymo novimus morem catholicorum doctorum hunc fuisse, ut in commentariis suis nonnullas haereticorum pessimas opiniones suis insererent sententiis, dum perfectioni studentes nulla antiquorum praeteriisse gauderent... Beatus quoque Augustinus pleraque ex operibus suis retractando ac corrigendo, multa se ibi ex opinione magis aliorum, quam ex propria posuisse sententia profitetur. Nonnulla etiam in Evangelio juxta opinionem hominum magis quam secundum veritatem rerum dici videntur... Haec quippe prima sapientiae clavis definitur: assidua scilicet seu frequens interrogatio... Dubitando ad inquisitionem venimus, inquirendo veritatem percipimus, juxta quod et Veritas ipsa: *quaerite, inquit, et invenietis, pulsate et aperietur vobis.*

(31) *Introductio ad theol.* str. 1060 (wyd. Migne). Nec quia Deus id dixerat, creditur, sed quia hoc sic esse convincitur, recipitur.

pogańscy myśliciele, którzy przypatrując się bacznie światu doczesnemu, zeń nie tylko wzniesli się do prawdy, iż istnieje Bóg jeden, lecz nawet odgadli wewnętrzną tegoż Boga istotę czyli tajemnicę Trójcy Ś. Dogmat ten nasuwa pytanie: *czyż możliwem jest rozróżnianie aż trzech osób w jednej i tej samej bożej istocie i czyż da się troistość osób pogodzić z nierozdzielną jednością ich substancji?* Filozof odpowiada, że pojęcie Trójcy wypływa z pojęcia „najwyższego dobra,” albowiem rozróżniamy w takowem trzy niezbędne pierwiastki: istota mająca być najwyższego dobra całkowitem uosobieniem, powinna być *wszechmocną*, gdyż bez tego przymiotu nie będzie mogła wszędzie i zawsze okazywać dobroci swojej; powtórę powinna być *wszechwiedną*, by nigdy nie myliła się w działaniu swoim; nareszcie nie może nie być *wszechdobrą*, skoro czyny jej mają być zawsze najlepsze. Upatrujemy więc słusznie w Najwyższej Istocie potrójne źródło *wszechmocy*, *wszechwiedzy*, *wszechdobroci*, a oznaczając każdy z tych trzech jednej i tej samej Istoty objawów osobną nazwą, powiemy że Ojciec *uosobioną potęgą*, Syn *mądrością*, nareszcie Duch ś. *miłością*.

Nie trzeba przecież mniemać, jakoby każdy z trzech wymienionych przymiotów był wyłącznie inną właściwym osobie, gdyż w takim razie rozpadłaby się boża jedność, a miejsce jej zajęłyby trzy niezależne od siebie jednostki, tak mało ze sobą związane, jak trzy np. ludzkie osobniki; przeciwnie Trójca św. jest w sobie jedną i każda z jej trzech osób zupełnie równą dwom drugim. Jednakże nie trzeba w przestrzeganiu jedności posuwać się za daleko, poświęcając zupełnie *osobowość*: skoro mają w Trójcy św. istnieć obok siebie pojedyncze *osoby*, winna każda mieć cechę sobie właściwą, inaczej zleją się w całość niewyraźną. Dla tego powiedzieliśmy słusznie, że chociaż każdy z trzech owych przymiotów służy zarówno wszystkim trzem osobom, przecież w szczególności uwydatnia się głównie w jednej osobie i ją od innych wyróżnia, podczas gdy dwa pozostałe charaktery mają w tejże osobie słabsze, niejako podrzędne znaczenie. Powiemy więc, że Ojciec przede wszystkim *Wszechmocny*, nie jakobyśmy odmawiali wszechmocności dwom innym osobom, lecz Ojciec, o ile *udzielną* jest *osoba*, także *udzielną wszechmoc* posiada, na tém polegająca, że On tylko pochodzi *ze siebie i sobie zawdzięcza istnienie swoje*,

podczas gdy Syn i Duch św. mają dopiero z niego swój początek (32). Wszechmocność jednakże pierwszej Osoby nie będzie *bezwzględna, absolutna*, gdyż wtedy nie byłoby spójni żadnej między Ojcem a resztą osób, wszystko bowiem, co jest bezwzględne, nie zostaje w żadnym do innych stosunku, w żadnej styczności. Pierwsza więc osoba, o ile osobą jest tejże co Syn i Duch św. istoty, powinna podlegać warunkom wynikającym z natury istoty, przebywającej wspólnie w trzech osobach. Otóż same imię oznacza te warunki: pierwsza osoba zowie się Ojcem, nie będzie więc w obec i dla drugiej osoby nieoznaczoną, bezwarunkową jakąś potęgą, lecz *wszechmocnością rodzącą*, generans. Tak samo i Syn nie będzie *bezwzględną mądrością*, ani Duch św. *bezwzględną dobrocią*, gdyż nieoznaczona bezwzględność taka znosiłaby wszelką między nimi a Ojcem wspólność stosunków; ztąd Syn będzie wprawdzie *mądrością*, ale *zrodzoną*, sapientia genita; Duch św. nareszcie będzie dobrocią, nie ogólną, bezwarunkową, lecz *pochodzącą* zarówno z Ojca i Syna, bonitas procedens.

Zasada jedności i równości osób wymaga, ażeby przymiot wszechmocności, uważanej przez nas za główną cechę Ojca, służył także dwom innym osobom, wtedy przymiot ten rozdzielimy w sposób następny między trzy Osoby: Ojciec będzie najdokładniejszém niejako uosobieniem wszechmocy, omnipotentia, Syn zaś jako *mądrość Ojca*, nie będzie już tą samą wszechmocnością, lecz tylko częścią takową, aliqua potentia, gdyż mądrość, wszechwiedza, jest tylko częścią ogólniej wszechmocy, jest to władza rozróżniania wszystkiego i wystrzegania się omyłek. Powiemy więc, że z *bezwzględnej, absolutnej wszechmocy Ojca wychodzi mądrość Syna, jako moc szczególna, partykularna*, czyli krócej mówiąc, że Syn jest odłamem potęgi Ojca. Nareszcie Duch św. którego nazwaliśmy uosobioną dobrocią, nie zawiera w sobie wcale pierwiastku wszechmocności, gdyż on jest wynikiem takowej jako i mądrości, które razem są niejako jego

(32) Introductio ad theol. ks. I rozdz. 10. Quaedam Patri secundum substantiae modum propria manet potentia, ut cum videlicet ipse Pater omnia facere possit, quae Filius et Spiritus s: hoc insuper habeat, ut a se ipso solus ipse queat existere, nec necesse habeat ab alio esse.

przesłankami; zanim bowiem wola Najwyższego objawi się w czynach dobrych, powinien mieć najprzód *moc*, potem *świadomość* takowych. I tak Duch św. zarówno od Ojca i Syna pochodzi i bez nich istnieć nie może; nie pochodzi on przecież z *istoty* Ojca, gdyż wtedy byłby jak Syn *zrodzonym*, i miałby jak on *moc* jakąś, bo z mocy rodzi się *moc* nowa. Duch św. jest tylko stosunkiem, w jakim Bóg zostaje do stworzeń swoich, gdyż dobroć Boża nie jest bezwzględna, lecz objawia się względem stworzeń (33).

(33) Na około téj nauki o Trójcy ś. grupują się główne punkta oskarżenia. Bernard ś. wyrzekł z oburzeniem, że Trójca Abelardowa brzmi omnipotentia, semipotentia, nulla potentia (de error. Abel.), co jest bardzo dowcipnem wyrzeczeniem. Na inném miejscu tenże święty mąż twierdzi, jakoby Abelard niby Aryusz nowy, zniósłszy równość osób, różnił w Trójcy stopnie i odcienie; theologus noster cum Ario gradus et scalas in Trinitate disponit (epist. 330). Wyłożoną przez nas naukę Abelarda o Trójcy ujęto w dwóch głównych punktach aktu oskarżenia na soborze w Sens: 1) quod Pater sit plena potentia, Filius quaedam potentia, Spiritus s. nulla potentia. 2) Quod Spiritus s. non sit de substantia Patris. Zob. Otho Frisengensis de rebus gest. Friderici I w ks. I rozdz. 49. Przypatrzmy się obydwom zarzutom.

I. Co do pierwszego oświadczył Abelard na wstępie apologii, która w zbiorze listów jego jest oznaczona nr. 22, że zarzut niesłuszny i że podsuwane mu wyrzeczenie wcale się nie znajduje w jego pismach. Nie przeczymy, że możnaby z złą wolą dedukować coś podobnego z różnych miejsc w teologii Abelarda, pamiętajmy przecie, że autor obdarzając każdą z trzech Trójcy osób innym przymiotem, poszedł za przykładem Ojców kościoła, którzy tych samych słów zresztą używali. Pierwsza Osoba Trójcy zowie się w składzie apostolskim „Omnipotens;” Syn ma przydomek „Słowa” lub „Mądrości” prawie w wszystkich z pierwszych wieków pisarzy chrześcijańskich; Duch ś. nazywa się „Miłością.” Zeby pominąć dalsze przykłady przytoczymy tylko jednego z najbliższych Abelarda poprzedników, Bedę Czcigodnego, który mówi; potentia dicitur pater., sapientia dicitur filius; pater genuit filium i. e. divina potentia sapientiam., Voluntas vero divina dicitur spiritus. Spiritus iste a patre et filio procedit, quia voluntas divina bonitas. Zob. Beda Venerab: Opera, tom II str. 207. Otóż mniemanie Bedy w niezem się nie różni od mniemanej „herezyi” naszego filozofa; było ono zresztą bez wątpienia Abelardowi znaném i tém śmieliej mógł się Abelard na niem oprzeć, im większej autor jego używał czei u teologów. Po Abelardzie uczeń jego Piotr Lombardczyk to samo uczyl, a ś. Tomasz także nie odrzucił tego sposobu tłumaczenia. Kościół wprowadzając uznawając tylko trzy kardynalne przymioty osobowe w Trójcy ś: *ing-nitus, unigenitus, procedens*, nie przyjął nigdy wyliczonych przez nas atrybutów za wyłączne cechy osobowe, przecie tolerował róż-

Omijamy uśiłowania Abelarda, ażeby wykazać prawdziwość dogmatu Trójcy już to za pomocą ksiąg świętych, już

nieć za pomocą nich ustanowioną. Trudno więc Abelardowi zarzucić herezyą, jeżeli Syna nazywa Mądrością lub Mądrość, jako zrodzoną z Ojca Wszechmogącego, ogłasza za część ojcowskiej wszechmocy, za pewną takową formę i określenie; podobnych obrazów i przenośni używano przed nim i po nim w teologii bardzo często bez żadnych szkodliwych dla wiary następstw.

II. Drugi główny zarzut tyczy się Ducha ś. jakoby Abelard nie przyznawał mu tej samej substancji, co Ojcu. Abelard nazywał bowiem Ducha wprawdzie ejusdem substantiae, co Ojciec ale nie ex substantia Patris. Subtelność prawdziwie scholastyczna i trudna do zrozumienia, przecież wiele przyczyn ją uniewinnia. Kościół bowiem odróżnia rodzenie się Syna od powstania Ducha ś. Syn rodzący się z Ojca jest tej samej co On substancji, jak to Jan ś. mówi: co się narodziło z ciała ciało jest, a co się narodziło z ducha duch jest (ewang. rozd. III. 6). Ale Duch ś. nie rodzi się, on jest niejako wylewaniem się Bóstwa na zewnątrz; trudno wtedy pojąć, czemu nie ma być tejże istoty co Ojciec. Abelardowa subtelność jakoby Syn był ex substantia Patris, a Duch tylko ejusdem substantiae, nie tłumaczy, przeciwnie zaciemnia jeszcze dogmat i tak już niepojęty. Abelard mógł powiedzieć, że trzy osoby Trójcy mają udział w tej samej substancji, że są consubstantiales, chociaż nie w tym samym stopniu, gdyż Syn rodzący się z Ojca zostaje bez wątpienia w innym do niego stosunku niż Duch ś. od obu wychodzący. Przecież jeżeli subtelność Abelardowa nie udała się, czyż oskarżyciel jego był szczęśliwszy? Bernard ś. twierdzi, że Duch może być z tej samej substancji co Ojciec, choć nie będzie jego synem i rozumuje tak: czyż to, co jest z jakiej substancji, musi być koniecznie synem tej substancji?... Robaki wylęgle w zgnilém drzewie, czyż nie są tej samej substancji co drzewo, a przecież nie są synami drzewa?.. Zob. Remusat „Abelard” tom II str. 318 i 323. Nieszczęśliwy przykład świątobliwego męża pokazuje naocznie, że rozum nasz nie zdoła zgłębić tajemnic Dogmatu, przechodzącego wszelkie pojęcie, a największą właśnie z tych tajemnic stosunek Ducha ś. do drugich dwóch osób. Stosunek Syna do Ojca można za pomocą zmysłowego obrazu choć w części wyjaśnić, ale który obraz odda misterny początek Ducha, który pochodzi z Ojca i Syna, a jednak z nich się nie rodzi. To też kościół użył po kolei najdelikatniejszych greckiej terminologii wyrażen, przecież napróżno. Cóż bowiem zyska jasność dogmatu, że Ducha nazwiemy *ἀπόρροια* wpływem Ojca lub *προβολή*, wychodzeniem lub *ἐκπεμψις* wysłaniem lub *ἐκφουσις*, wyrośnię? To też ś. Augustyn wyznał w pokorze, że nie wiedział jak odróżnić rodzenie się Syna od pochodzenia Ducha. Zob. Contra Maxim. ks. II rozd. 14. A Bossuet słusznie powiada: Dieu a voulu expliquer que la procession de son Verbe était une véritable et parfaite génération: ce que c'était que la procession de son Saint-Esprit, il n'a pas voulu le dire, ni qu'il y eût rien dans la nature qui représentât une action si substantielle et tout ensemble si singulière. C'est un secret ré-

to dawnych filozofów, przed innymi zaś Platona (34). Jednakże wszystkie te dowody, które zresztą nie zawierają nic nowego, wydały się Abelardowi niedostatecznymi; chciał także udowodnić dyalektycznie, że treść dogmatu nie sprzeciwia się rozumowi, że rzeczywiście pomyśleć można jedność istoty z troistością osób. Abelard ocenił trudność tego zadania: Bóg zbyt wyniosły a pojęcia nasze zbyt ograniczone, aby całkowicie mogły się zbliżyć do siebie. To też, powiada nasz filozof, nie zdobyli się myśliciele prawie nigdy na dokładną definicję Boga, słusznie tém się zaskaniając, że rozum nasz nie zdoła objąć Bożej istoty, ani objętej wyśłowić w sposób dostateczny. Nic w tém dziwnego, gdyż zasadnicze pojęcia i prawa ludzkiego myślenia nie mają się Boga; przenosząc więc do niego słowa i kategorie, zapożyczane od stosunków doczesnych, nie trzeba nigdy zapomnieć, że takowe wtedy tylko przenosią, tylko obrazem, przypominającym bardzo niedostatecznie Boże podobieństwo. Obrazów takich użył Abelard kilka, ażeby lepiej wyłożyć istotę Trójcy św. i wzajemny stosunek, zachodzący między jej osobami; obrazy te wywołały oburzenie przeciwników, powtarzamy więc raz jeszcze, że to obrazy tylko, że Abelard za takie je podawał i że sam był aż nazbyt przekonany o ich niedokładności. Przytoczymy kilka z Abelardowych przyrównań.

Rozróżniamy w grammatyce trzy o oby: *ja, ty, on*, każdy podmiot może być naprzemian jedną z nich, gdyż ka-

servé à la vision bienheureuse. (Elévat. sur les Myst., 2 sem. V). Jesteśmy tegoż przekonania; Abelardową zaś definicję można uważać za niedostateczną, za niewłaściwą nawet, ale bynajmniej za heretyczną.

(34) *Introductio ad theol.* ks. I rozdz. 17. Bene autem Spiritum s. animam mundi quasi vitam universitatis Plato posuit, cum in bonitate Dei omnia quodammodo vivere habeant et universa tamquam viva sint apud Deum... Usiłowania te, żeby z Platona dowieść Trójcy ś., dały powód innemu punktowi oskarżenia: quod Spiritus s. sit anima mundi. Zob. Otho Frisengensis, de rebus gest. Friderici I w ks. I rozdz. 49. Bernard także powstawał gwałtownie przeciw czerpaniu dowodów z pogańskiej filozofii, mówi bowiem o Abelardzie: dum multum sudat, quomodo Platonem faciat Christianum, se probat ethnicum, w liście do papieża Innocentego II. Jakkolwiek opieranie dogmatów chrześcijańskich na powadze mędrców starożytnych, niezem nie jest uzasadnione, a często bardzo szkodliwe, przecież mógł się Abelard tém uniewinnić, że większość ojców kościoła czyniła to samo.

ždy albo sam mówi, albo jest osobą do której się mówi, lub nareszcie osobą, o której się mówi. Pierwsza przecież osoba jest niejako warunkiem bytu dla dwóch drugich, bo gdy ona nie mówi, nie ma ani drugiej, do której mowa się zwraca, ani trzeciej, o którą mowa się toczy. Stosunek ten grammatyczny można w przenośni zastosować do Trójcy św: i tam Syn nie może być bez Ojca, ani Duch św. bez dwóch pierwszych. Jak zaś jeden i ten sam człowiek może być po kolei każdą z trzech osób grammatycznych, a przecież ztąd w mowie pierwsza osoba nie jest drugą, ani druga trzecią, tak i w Trójcy św. gdzie wprowadzić każdą z trzech osób jest tą samą bożą istnością, a przecież pierwsza Osoba nie jest tą samą co druga, ani druga tą samą co trzecia.

Możemy także Tróję św. uważać za podobną do metalowej pieczętki: pieczętka taka w sobie jedną jest, a przecież różniamy w niej bez trudności dwoistość pewną, treść i formę: treścią będzie metal, z którego ulano pieczętkę, a formą będzie herb w tejże pieczętce wryty. Dwa te pierwiastki różnią się od siebie; metal jest podstawą pieczętki, gdyż pieczętka z niego a nie on z pieczęci; przecież bez formy owęj także nie byłoby pieczęci, nie byłaby zdadną do pieczętowania. Gdy zaś pieczęć wyciśniemy na wosku, przybywa trzeci szczegół, gdyż pieczęć stawia się *pieczętującą*; i tak trzy mamy pieczęci właściwości: metal stanowiący treść jęj, *aes ipsum*, zdolność pieczętowania, *sigillabile*, i nareszcie akt pieczętowania, *sigillans*. Trzy te właściwości składają się na jedną i tę samą pieczęć, a mimo jedności swojej zachowują niezależność pewną i to w ten sposób, że metal, treść pieczęci, będzie warunkiem jęj formy i zdolności jęj do pieczętowania, a obydwie razem, treść pieczęci i forma, są niezbędnym warunkiem, poprzedzającym i umożliwiającym sam akt pieczętowania. Tak i w Trójcy św. (35).

(35) Zob. *Introductio ad theol.* ks. II rozd. 13. *Sicut enim ex aere sigillum est aereum, et ex ipso quodammodo generatur, ita ex ipsa Patris substantia Filius habet esse, et secundum hoc ex ipso dicitur genitus. Specialiter enim nomine Patris divina potentia declaratur, sicut nomine Filii divina sapientia significatur....* Tamże, rozd. 14. *Sicut igitur ex aere sigillum aereum habet esse, et rursum ex aere simul et sigillo i. e. sigillabili, sigillans habet esse, sic ex Patre solo Filius habet*

Ale dosyć tych porównań; przytoczone przez nas wystarczają, aby uwydatnić Abelardowe zapatrywanie się na dogmat Trójcy; zapatrywanie to nie jest zupełnie nowém, przypomina często Ojców kościoła, przed innemi zaś św. Augustyna, którego wpływ na Abelarda był nie mały. To też dyalektyk XII stulecia rozwija dalej poglądy wielkiego Ojca zachodniego kościoła i jak on przejęty duchem Platona, choć pośrednio tylko, starał się tajniki chrześcijańskiego misteryum rozjaśnić pochodnią filozofii. Może mu się to nie udało, może przez śmiałość obrazów i niedokładność wyrażań dał powód do niejednego zarzutu, do którego w duszy nie poczuwał się; tyle pewna, że cała jego o Trójcy nauka nie zawiera nic wręcz przeciwnego kościelnej wierze, a w każdym razie pozostanie chlubnym świadectwem usiłowań filozofa, miotanego żądzą prawdy, ażeby najdelikatniejszą treść wiary strawić duchowo, a strawioną przekształcić w świadomy nabytek jestestwa swego.

Daleko oryginalniejszym jest Abelard w etyce: wyłożył ją w osobnym dziele p. n. „*Znaj siebie samego*” Scito te ipsum, która to praca wywołała również wielkie oburze-

esse, et ex Patre et Filio Spiritus S... Sicut autem aes et sigillum seu sigillans in suis proprietatibus diversa sunt secundum modos existentiae, quos ad invicem habent, ita scilicet, ut nullus ipsorum proprietatem alterius communicet, sic et Pater et Filius et Spiritus Sanctus.... Te i podobne inne porównania powiększyły akt oskarżenia i mianowicie Bernard św. na nie nastawał: trudno jednakże zabronić używania porównań, byleby za takie podawane były, otóż Abelard często powtarza, że to porównania tylko i że za takie brać je należy. Zresztą obrazy przezeń użyte nie są ani gorsze ani niebezpieczniejsze od przenośni, jakich napotykamy u innych pisarzy. Augustyn św. np. przyrównywa Tróję do trzech jestestwa naszego pierwiastków: *bytu, wiedzy i miłości* lub też do *pamięci, myślenia i woli*. Anzelm św. znowu powiada, że Trójca św. jest jakby Nil, który choć w sobie jedną jest rzeką, przecież i źródłem jest i rzeką i jeziorem. Z nowszych nareszcie powiada Bossuet: entendre et vouloir, connaître et aimer sont actes très distingués, mais le sont-ils réellement?... Tout cela au fond n'est autre chose que ma substance affectée, diversifiée, modifiée de différentes manières, mais dans son fond toujours la même.... Une trinité créée que Dieu fait dans nos âmes, nous représente la Trinité increée. Elévat. sur les Mystères, sec. sem. III i nast. Zaiste przenośnia bardzo niebezpieczna, możnaby i o niej powiedzieć, że zaciera samodzielność osób na rzecz jedności, a jednak Bossuet o tém nie myślał; ale to ulomność, wspólna wszystkim doczesnym obrazom, to samo powiemy o obrazach Abelarda.

nie, jak pisma jego teologiczne, tak iż sama dostarczyła aż sześć zdań do owych czternastu, oznaczonych mianem herezy na soborze w Sens. Filozof miał tutaj swobodniejsze nieco pole niż w teologii i z większą się nieraz wyraził śmiałością; ograniczymy się przecież na bardzo pobieżnym zarysie.

Człowiek z natury nie jest grzesznym, wprawdzie mieszczą się w nim różne żądze i skłonności, które go pobudzić mogą do złego, ale złe właściwie nigdzie nie istnieje, jest ono tylko zaprzeczeniem, nieobecnością dobrego, jak uczył niegdyś Augustyn św. Dopiero gdy się damy porwać namiętnościom naszym, dopiero wtedy czynimy *złe*: nie jest więc złe niczem ino zezwoleniem na pobudki żądz, usłuchaniem ich głosu zwodniczego. W tym akcie czysto podmiotowym mieści się całe złe, gdyż następstwa tegoż aktu złemi nie są: czyn sam przez się nie jest ani dobrym ani złym, staje się zaś jednym lub drugim w skutek zamiaru, w jakim się popełnia, a zamiar wewnętrznym aktem działającego podmiotu. To też sam zamiar wystarcza, żeby nas potępić, czy mu towarzyszy czyn lub nie, rzecz to zupełnie obojętna. Najlepszym przykładem na indyferencją czynu, na jego moralną bezbarwność jest męczeństwo Chrystusa, męczeństwo to wpływem trzech zupełnie różnych czynników, Boga Ojca, Chrystusa, Judasza. Bóg Ojciec oddał Syna swego na męczeństwo, Syn siebie samego, a Judasz pana swego; jakże różny jednak charakter czynu Judaszowego od dwóch innych, które materyalnie wcale doń podobne—złe więc w zamiarze, nie w czynie (36). Są więc zamiary złe i dobre, ale któż je osądzi, któż odróżni złe od dobrych? Na to odpowiada filozof, że *sumienie*; co się z niem zgadza

(36) Cała etyczna teoria filozofa zawarta w dwóch następnych zdaniach: *Ethica seu Scito te ipsum*, rozdz. 3. *Non enim, quae fiunt, sed quo animo fiunt, pensat Deus, nec in opere, sed in intentione meritum operantis vel laus consistit...* rozdz. 7. *Opera omnia in se indifferentia, nec nisi pro intentione agentis bona vel mala dicenda sunt, non videlicet, quia bonam vel malum sit, ea fieri, sed quia bene vel male fiunt, hoc est, ea intentione, qua convenit fieri aut minime.* Zob. *Comment. in epist. ad Rom.* ks. I. rozdz. 2. *Opera sunt indifferentia in se, scilicet nec bona nec mala, nisi secundum radicem intentionis, quae est arbor bonum vel malum proferens fructum.*

jest dobrém, a złém, co się jemu sprzeciwia. Ale czemuż jest to sumienie? oczywiście moralném samowiedném przekonaniem. Jednakże samowiedza przekonania może być zamgloną lub nawet nieobecną, wtedy i czyny w takim stanie duszy popełniane będą wolne od winy, gdyż tylko czyny, którym towarzyszy zupełna działającego podmiotu świadomość, podlegają ocenie, wszystkie inne są zupełnie obojętne; lub téż samowiedne owo przekonanie może się mylić w skutek błędnych nań wpływających czynników, a wtedy także czyny jego złemi nie będą. Żydzi np. prześladowając Chrystusa i uczniów jego, dopuścili się czynów w naszych oczach przewrotnych i karygodnych, ale jest to osobistém złudzeniem, gdyż Żydzi działali w zgodzie ze swoim sumieniem, a ztąd czyny ich złemi być nie mogą, skoro im nie towarzyszyła zła intencja. Można twierdzić, że ich przekonanie fałszywém było, że się mylili, ale bynajmniej, że zgrzeszyli; tylko wtedy byłiby ciężko zawinili, gdyby wbrew przekonaniu byli oszczędzili Chrystusa, oraz wyznawców jego (37).

Taka mniej więcej główna myśl Abelardowej etyki; podług niej to tylko jest złém, co z całą świadomością popełniamy wbrew głosowi sumienia; myśl ta bezstronnie na nią zapatrującemu się nie wyda się ani fałszywą, ani pozbawioną logicznej podstawy, przecież mieści ona w sobie drugą, zupełnie innego rodzaju. Czem bowiem owo sumienie mające być sędzią najwyższym naszych zamiarów, normą niezachwianą czynów naszych? czyż ono głosem wewnętrznym, powtarzającym niezmiennie jedno i to samo prawo moralne? Słowa Abelardowe nie przemawiają za tém, owszem można z nich wyprowadzić sens zupełnie przeciwny. Przynajmniej przykłady przezeń przytoczone do tego składają. Bierzmy prześladowanie jakie wymierzili żydzi przeciw Założycielowi naszej religii; Abelard nie tylko ich uwalnia od winy, lecz nawet twierdzi, że byłiby takową popełni-

(37) *Ethica*, rozdz. 14. *Sic et illos qui persequantur Christum vel suos, quos persequendos credebant, per operationem peccasse dicimus, qui tamen gravius culpam peccassent, si contra conscientiam eis parcerent.* Niech czytelnika nie zwodzą słowa *per operationem peccasse*, jest to ustępstwo dla opinii publicznej, właściwie zaś eufemizm lub raczaj kakofemizm za *cnotę*, gdyż w rozdz. 13 mówi autor: *non est peccatum nisi contra conscientiam.*

li, oszczędzając Chrystusa. To znaczy, że czyn ich był w zgodzie z ich sumieniem, że zatem był *cnotą*; ale czemu ten sam czyn wydaje nam się *zbrodnią*? Prawdopodobnie dla tego, że nasze sumienie inném jest od sumienia ówczesnych ludzi, ale wtedy sumienie pojęciem zupełnie warunkowém, gdyż zamienia się w iloczyn rozmaitych wpływów moralnych i umysłowych, w których atmosferze jednostka się obraca i żyje; ponieważ zaś wpływy te zmieniają się z każdym stuleciem, przeto i sumienie i pojęcie dobrego z niém związane, ulegają razem z niemi bezustannym przeobrażeniom. Ale wtedy zniknęła absolutna idea dobrego, owa bezwarunkowa norma i zasada moralności, a zostało się tylko chwiejne, wciąż w inną formę przelewające się widmo, przypominające wyrzeczenie starego Protagorasa, że człowiek miarą wszystkiego, *ἄνθρωπος μέτρον πάντων*. Mniemanie to wprowadzone do etyki zgadza się przedziwnie z teorią dzisiejszych *relativistów*, powinniśmy więc przyznać Abelardowej etyce sławę pierwszeństwa.

Jednakże to mniemanie jest konsekwencyą, na którą nie byłby się zgodził autor systemu; nie jest to zresztą jedyna, lecz wiele innych również jak ona niebezpiecznych; spoczywa w pierwszym mniemaniu jakby w zarodku, cała kazuistyka Jezuitów, cała okropność teorii, jakoby cel uświęcał środki, drzemia tam niby w żyznej roli, z której za nastaniem dogodnych warunków rozrosną się bujnym chwastem. Przecież Abelard dalekim był od tych wniosków, on obstawał za bezwarunkową ideą dobrego, żeby ją jednak osiągnąć i zespolić ze swoją nauką, musiał popełnić niekonsekwencyą, zdobiącą jego serce, chociaż nieuzasadnioną w obec logiki. Nie chcąc bowiem czynów pozbawić wszelkiego znaczenia, zostawił im zasługę jedną—zasługę posłuszeństwa. Bóg uwzględni uczynki nasze, o ile są wyrazem posłuszeństwa, pobudką zaś posłuszeństwa powinna być miłość niewymowna Najwyższego. I tak: *miłość* stawia się strażniczką porządku moralnego i zajmuje miejsce ziemnego, abstrakcyjnego prawa. Zwykle zarzucają Abelardowi, że nie uczynił prawa bożego zasadą postępowania, nie pojmujemy zarzutu tego, gdyż miłość jest wyższym szczeblem, ona siłą dodatnią, podczas gdy prawo formą ujemną. Ale zarzut niekonsekwencyi zostaje się na całym systemie,

i osłabia ostatnie wnioski; cóż znaczą najwspanialsze maksymy, oparte na ruchliwym piasku?

11. *Znaczenie historyczne Abelarda, epilog Heloizy.* Opowiedziałem pobieżnie żywot myśliciela, cały rozwój ducha jego od pierwszych młodocianych początków aż do sławnych dni męża i rozpaczliwych walk starca; wytoczyłem wszystko co myślał, co czuł, co przebolewał przez lat tyle, co zdziałał energią słowa i bystrością rozumu; nie pominąłem żadnego ważnego szczegółu. Ale droga nasza ma się ku końcowi, a choć nie była ani długą ani mozolną, pragniemy, zanim rozstaniemy się z smutnym myślicielem na zawsze, a z czytelnikiem na długo, zebrać raz jeszcze wszystkie szczegóły duchowej jego istności, połączyć główne rysy jego myślenia i działania, ażeby stanął przed nami takim, jakim był niegdyś przed wiekami.

Dzisiaj mało kto go czyta, chyba uczony jaki w samotnej bibliotece; człowiek światowy przerzuci może listy jego do Heloizy, i powie, że to była miłość jak tyle innych.... że nic nowego pod słońcem. Potrzeba więc usprawiedliwienia, żeśmy zajęli publiczność przedmiotem tak odległym, z którego nie można wydobyć nic, co by się zdało naszym czasom. Tak mówią ludzie praktyczni a mają poniekąd rację. Liczba książek wzrasta z dniem każdym, możemy więc z dawniejszych tylko te czytać, co się nigdy nie starzeją; liczba faktów i wypadków tak samo olbrzymieje z każdym rokiem, możemy więc tylko najważniejsze przywozić sobie na pamięć, bo czasu mało, coraz mniej..... Otoż z Abelardem nie łączy się żaden wielki fakt dziejowy.... w historii politycznej imię jego zupełnie jest nieznanem; ani też nie był on wielkim pisarzem.... styl jego suchy, czasem cokolwiek mniej barbarzyński od współczesnych mu literatów, ale myśli ujęte zawsze w tę samą dyalektyczną sznurówkę: najgenialniejsze więc porywy, najoryginalniejsze pomysły, krępowane nienaturalną logiką i językiem umarłym, musiały pozostać w powiciu.... Na cóż go więc czytać! tylu innych sławnych w swoim czasie teologów przebrzmiało bezpowrotnie: nikt do nich nie zagląda.

Prawda to wszystko.... a przecież po dłuższej rozwaźce, zmniejszwszy nawet ile się dało, wartość średniowiecznego męża, znajdujemy go jeszcze wielkim i ważnym....

może to złudzenie tylko, sprawione dziwnym jego osoby urokiem.... nie wiem, ale zdaje mi się, że imię jego należy do téj małej liczby imion wybranych, których brak zaraz uczuć się daje w rozwoju ludzkości, gdyż po ich wymazaniu nastaje próżnia rażąca. Czyż to złudzenie tylko? Uczniowie Abelardowi świadczą wymownie, że to prawdziwa rzeczywistość; kto ich miał tylu jak on, wywarł bez wątpienia wpływ sięgający daleko.... Jeden papier, dziewiętnastu kardynałów, kilkadziesiąt biskupów i prałatów, tysiące niższego duchowieństwa wyszło wprost z jego szkoły, całe światło i niezależne świeckie duchowieństwo Francyi, Anglii, Włoch i Niemiec znało jego zasady a w części je wyznawało skrycie lub otwarcie. Jeden zaś przykład wpływu jego wymowniejszy od innych. Uczniem jego jest *Piotr Lombardczyk*, ów sławny biskup paryżki, którego *liber sententiarum* stał się nie tylko podręcznikiem teologów, lecz nawet wzorem wszystkich następnych dogmatyk aż do XVI wieku, nie wyjmując wielkiej „Summy” św. Tomasza. Otóż Piotr Lombardczyk nie tylko rozwija zasady mistrza swego, lecz pracował mając dosłownie pod ręką Abelardowe „*Sic et Non*,” ów zbiór osławiony teologicznych sprzeczności. Zważywszy więc, że metoda ta zrazu prześladowana, już w kilkadziesiąt lat po śmierci jej autora wydała system racjonalny dogmatyki, który wciąż doskonalony panował aż do wieku XVI bezwzględnie po szkołach teologicznych, trudno nie uznać wielkości tego, który powołał metodę tę do życia. To też żaden ze scholastyków, nie wyjmując „anielskiego doktora” nie doczekał się ani tak długiej ani tak popularnej sławy; współcześni, nawet ci, co nie dzielili zasad jego, i co przeciw niemu walczyli, nazywają go zawsze „cudownym filozofem” lub „najsławniejszym mistrzem nauki.” „Nasze wieki, mówi kronikarz z owych czasów, nie widziały równego jemu, ani dawniejsze drugiego.” Inny znów śpiewa: „Piotr Abelard, większy od największych, nad którego Francya nie miała ani większego ani sławniejszego”.... Inni nareszcie stawiają go na równi z Arystotelesem i Platonem, z Ciceronem, a co dziwniejsza, nawet z Homerem.... I takich wzmianek nie napotykamy kilka, lecz kilkaset. Kult ten dziwny, który w nowszych czasach jednego Hegla otaczał, a którego w średnich wiekach nie doznał nikt w po-

dobnych rozmiarach, tłumaczy się w części urokiem jego słowa, które było bez wątpienia swobodniejszém od jego pióra, w części zabobonną przesadą, z jaką wyniesiono każdy dzielniejszy objaw myśli pod niebiosą same, ale w części także instynktowém przeczuciem, że od niego zaczyna się nowy zwrot duchowy. Zwrot ten nastąpił rzeczywiście i dziwne losu zrządzenie postawiło Abelarda niejako na świcie tego zwrotu nowego.

Powiedzieliśmy że nie bez przyczyny powstawali gorliwi obrońcy wiary przeciw metodzie Abelarda; tak z każdą nową bywa metodą: gdyż nie ma w pierwszych powstania swego chwilach odpowiedniego materyału, to téż zrazu doświadcza sił swoich na starym materyale i burzy go, ztąd niechęć i oburzenie, ale w dalszym rozwoju nowa metoda przygotowywawszy sobie nowy materyał, z nim się zrasta, i z burzącą stawa się ożywcza. Materyał naukowy średnich wieków aż do czasów Abelarda znany nam, wszystko co zeń można było wydobyć, ułożył Anzelm św. w rodzaj systemu; do starego szczupłego materyału przystąpił Abelard z nową metodą, ale metoda była w zbyt rażącej sprzeczności z swoim polem działania i lękali się wszyscy ogólnego zniszczenia. Przecież obawy wkrótce przemineły. Abelard i przeciwnicy jego ledwo spoczęli w grobie, a już cały Arystoteles przybywa na Zachód i stawa przed olśnionym wzrokiem scholastyków—prawda, że zrazu w arabskiej szacie i z dodatkami Wschodu, ale w porównaniu z tém, co się o nim wiedziało i co się po nim miało za pośrednictwem Boecyusza, był to materyał tak nowy i olbrzymi, że zerwano z przeszłością zupełnie. To téż dzieła pisane przed wiekiem XII i w czasach Abelarda nie wywarły prawie żadnego wpływu na wielki wiek XIII, a treść Abelardowych dzieł również utonęła w zapomieniu, jak pisma jego przeciwników. Ale dziwna rzecz—owa metoda Abelarda za silna, a ztąd niebezpieczna, póki zespolona ze starym, przetrawionym materyałem, odłącza się od treści swojej i przystępuje do nowych zasobów naukowych, przetwarzając je w system, który w części dzisiaj jeszcze panuje w teologii. Prawdziwa scholastyka zaczyna się z wiekiem XIII, a forma jej jest urzeczywistnieniem dyalektycznej metody Abelarda.

Przytaczamy słowa Cousin'a, jakie umieścił w przedmowie do niewydanych dzieł Abelarda, gdyż słowa te bardzo szczęśliwie oznaczają wpływ Abelarda na rozwój duchowy średnich wieków. P. Cousin mówi: „od czasów Karola W. i dawniej jeszcze wykładano w wielu miejscach trochę grammatyki i logiki; także rodzaj teologii wykładano, ale teologia ta nie była niczem, ino wierną ekspozycją uświęconych dogmatów, wystarczała dla wiary ale była bezpłodną dla rozumu. Tylko wprowadzenie dyalektyki do teologii mogło stworzyć ducha kontrowersy, który jest i wadą i sławą scholastyki. Abelard głównie uskutecznił to wprowadzenie, on więc jest głównym twórcą średniowiecznej filozofii, tak iż Francya dała Europie i scholastykę w wieku XII w osobie Abelarda, a na początku XVII wieku w Dekarcie pogromcę téj samej scholastyki i ojca filozofii nowożytnej.”

Zaprawdę, sława to nie mała, nakreślić kilku wiekom bieg i metodę myślenia.... sławy téj nikt nie pozbawi Abelarda.... A Heloiza? którą dała mu Opatrzność za towarzyszkę w ziemskiej niedoli, która wytrwała wiernie przy nim w dniach szczęścia i w dniach niedoli? Trudno znaleźć w dziejach chrześcijańskich dwa imiona, również zespolone pamięcią wieków..... Misterne połączenie którego rozzerwać nie można, nie chcąc obudwóch imion wskazać na zamarcie..... ona dostąpiła przezeń sławy, jakiej mało która z niewiast nowożytnych, a on jój zawdzięcza żywe wspomnienie, żyjące dotąd w tradycyi narodu. Bez niój byłoby imię jego zapisanem w katalogu świętobliwych doktorów, głęboko uczonych teologów, o których chyba uczeni coś wiedzą..... dla narodu byłby umarłym; *jój* imię nie przykute do pamięci nieszczęśliwego mędrca, byłoby poszło tam gdzie tyle innych powędrowało imion kobiecych..... w wieczne zapomnienie..... razem złączone wyrwały się dwa te wyrazy z toni wieków i dotąd tkwiąc głęboko w sercu swego narodu wywołują jużto dźwięczny głos podziwu, jużto ciche westchnienie współczucia..... Miłość cud ten sprawiła, ona im dała życie wieczne.

Warszawa, w kwietniu r. 1867.

